№ 38.

PRENUMERATA WYNOSI w Warszawie: Kwartalnie . . . . rb. 1 k. 25 rocznie . . . . . rb. 5 k. — za odnoszenie do domu rb.— k. 10 zmiana adresu . . . . k. 15

WARSZAWA. KRAKÓW.

23 Września 1911 r.

PRENUMERATA w Krakowie: kwartalnie kor. 4, rocznie kor. 16. W GALICYI I AUSTRYI: kwartalnie kor. 4.40, rocznie kor. 17.00. Zmiana adresu 40 hal.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Z przesyłką pocztową: kwartalnie . . . . . rb. 1.50 rocznie . . . . rb. 6.— We wszystkich państwach związku pocztowego kwartalnie rb. 1.60.

Redakcya i Administracya w Warszawie; Aleja Jerozolimska 49. Filia w Łodzi. ul. Piotrkowska 81, tel. 12.00, firma „Promień". *Reprezentacya na Galicyę: Kraków,* ul. Zyblikiewicza 8. Filia we Lwowie, ul. Leona Sapiehy 2. Agencya w Poznaniu: Księgarnia św. Wojciecha. Telefon Redakcyi 80.75, Administracyi 73.22.

CENY OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce na stronie zewnętrznej okładki kop. 20, na wewnętrznej kop. 15. W tekscie kop. 30. I strona okładki kop 40.

Adres Redakcyi i Administracyi: **Aleja Jerozolimska 49, Warszawa.**

Starość pracownic igły.

Bywa starość pogodna, otoczona rodziną, opromieniona zadowoleniem ze spełnionych obowiązków.

Bywa inna, której siły zabrał twardy znój, a nie rozjaśnia jej wspomnienie bezpromiennej doli.

Bywa jeszcze i taka, której zostało tylko przerażenie na myśl: co będzie jutro?

Dziś, jeszcze są siły. Kąt i kawałek chleba zdobywa się ciężką pracą. Ale gdy tych sił zbraknie, co będzie?

To pytanie zadaje sobie kobieta samotna, znękana, którą wszystkie dobrze znamy.

Stara, biedna szwaczka.

Czy niema sposobu na to, aby w to szare życie wpleść jaśniejszą nić, choćby tylko spokoju o starość?

Jest—jeśli zechcemy.

W tem przeświadczeniu, skoro uzyskamy pozwolenie od władz, z pomocą stowarzyszeń i związków kobiecych podejmiemy usiłowania, mające na celu stworzenie instytucyi, którąby tę troskę, cierpienie i rozpacz choć w części złagodzić mogła. Liczymy na Wasze współdziałanie i pomoc w tej mierze, Szanowne Czytelniczki, i wszelkie rady i wskazówki, jak przystąpić do pracy, jak przedewszystkiem zebrać odpowiednie fundusze, przyjmiemy z żywą wdzięcznością. Tymczasem dajemy głos Autorce, która całą działalnością literacką i społeczną życia swego dowiodła—jak bardzo drogą jest dla niej sprawa ulżenia doli pracownicom.

Redakcya.

Panna Ludwika.

(Z doli szwaczek domowych).

Lata dziecinne zostawiły mi wspomnienie, które całą siłą natarło na mnie w chwili, gdy szanowna Redakcya „Tygodnika Mód i Powieści" zwróciła się do mnie z prośbą o napisanie artykułu, właśnie w sprawie doli szwaczek domowych.

* * *

Panna Ludwika, wysoka, szczupła, prosta blondynka o gładko zaczesanych włosach i oczach spłowiałego błękitu...

Punkt ósma codzień rano kuchnią wślizgiwała się do jadalnego pokoju i siadała w kąciku przy maszynie.

Wstawała tylko do obiadu i kolacyi, śniadania i podwieczorki stawiano przed nią na małym stoliczku.

Jadła szybko, kończyła przed innymi; nad kawą tylko z klasycznym żółtawym kożuszkiem zatrzymywała się dłużej, wolno do ust podnosząc łyżeczki pachnącego nektaru i przełykając go jakby w upojeniu.

Z ostatniem uderzeniem ósmej na zegarze podnosiła się, układała na krześle skończoną robotę, obmiatała skrawki i skinąwszy głową gdzieś w przestrzeń—nie patrzyła nigdy i na nikogo bezpośrednio — wychodziła kuchnią, jak przyszła: cicho, bez szelestu.

Tylko przerwany turkot maszyny mówił, że jej niema.

Znikał automat, koło którego przesuwano się, jak koło pustego krzesła. Jest, czy niema go? — wszystko jedno, aby tylko rosły stosy koszul, staniczków, spódniczek, pod wprawnemi palcami.

Matka co pewien czas kontrolowała plony, przynosiła odmierzone tiuliki i hafty, zresztą, przy każdym posiłku brała w szczególną pieczę talerz gościa płatnego, nakładając z półmisków obfite i smaczne kąski.

Ojciec w chwilach dobrego humoru podśpiewywał krakowiaki na temat: „Gdyby nie było panny Ludwiki, toby nie było w karczmie muzyki". Bracia—na krzesło, które zajmowała przy stole jadalnym, kładli czasami drobne, kolące kamyki i spoglądali na siebie z tryumfem, gdy—mieniąc się—blada, czerwona, bez słowa wyrzutu wstawała, żeby je strząsnąć.

Pozatem — nikt o niej nie wiedział.

Przychodzili goście: bliższe i dalsze panie znajome, którym najlepiej było na kanapce w jadalni. Rozsiadano się wygodnie i gawędzono, jak gdyby nikogo nie było w pokoju.

Czasami ktoś z zupełnie obcych zwracał pytająco - porozumiewawcze spojrzenie w kierunku obrzuconego skrawkami płótna i tiulików automatu. Natychmiast jakiś swój człowiek machał ręką na znak:

— Mów, mów... *taka* nic nie słyszy... Zresztą, nie zrozumiałaby nas nawet!..

Bywały chwile, w których imię jej napełniało dom cały.

— Panna Ludwika zajęta: przyjdzie dopiero za dwa miesiące.

Matka, babka, ciotki łamały ręce.

Stos płótna bielał; igła w maszynie rdzewiała, dzieci biegały obdarte, a ona... dopiero... za dwa miesiące.

Trafiały się inne: sąsiadka z przeciwka proponowała swoją szwaczkę.

Wzięto ją na trzy dni, ale—okazało się, że lubi wyglądać oknem i rozmawiać ze sługami, przytem miała grymasy w jedzeniu. Więc—postanowiono czekać.

Całe długie dwa miesiące!...

Przyszła nareszcie. Pierwszy raz spostrzegli ją wszyscy. Ojciec na wiwat stworzył nowego krakowiaka, bracia rozstawili się w czterech rogach pokoju i na komendę złożyli ukłon z głośnem kichnięciem; któraś z ciotek zdmuchnęła uroczyście kurz z krzesła przed maszyną, matka zadeklarowała dobrowolną podwyżkę z 3 złotych groszy 10 dziennej płacy na cztery złote. Nawet służące uczestniczyły w tej chwili godowej, oznajmiając, że zrobią pannie Ludwice kawkę, jakiej jeszcze nigdy nie było.

A ona uśmiechnęła się ze spuszczonemi, jak zawsze, oczami. Coś bąknęła,

czego nikt nie usłyszał, pocałowała matkę w rękę za obietnicę podwyżki.

Po chwili, jak gdyby nie stało się nic ważniejszego, zawarczała maszyna i zaczęły rosnąć stosy bielusieńkich koszul.

* * *

Dwadzieścia lat szyła panna Ludwika. Ostatniemi czasy szło ciężko. Źle— nawet przez okulary — widziały oczy. Igłę nawłóczyło się nieraz minutę i dłużej. Maszyna warczała leniwie, z trudnością poruszały ją zartretyzowane stopy.

Automat, który przestał działać prawidłowo, zwrócił na siebie uwagę. Coraz któraś z ciotek-rezydentek podchodziła:

— Jeszcze Panna Ludwika nie obrębiła poszewki? — Jeszcze nie porobione zakładki w prześcieradłach?

Przyszła chwila zapłaty.

Gdzieś, w kasowej przegródce miała matka moja zawsze kilkanaście rubli dla biednych. Pieniądze te przeznaczyła tym razem dla Panny Ludwiki, postanawiając nie zmniejszać sumy, którą wynosiło wynagrodzenie jej wówczas, gdy mogła pracować normalnie!

Zamiast sześciu tygodni, szycie trwało obecnie dwanaście.

Próżno jedna z ciotek, zawiedziona w nadziejach swoich, zgryźliwa stara panna, buntowała matkę:

— Nie płać tyle! — Za te pieniądze mogłabyś być obszytą na cały rok!...

Gołębie serce matki mojej nie uległo pokusie. Obliczywszy dzień po cztery złote, jak zawsze, wręczyła kilka pięciorublowych papierków Pannie Ludwice.

I wtedy stała się rzecz dziwna. Automat, którego nikt nigdy nie słyszał, nagle przemówił.

— Ja... ja!.. nie mogę wziąść tyle... Ja... wiem... państwo tylko z łaski... żeby nie dać umrzeć... z głodu umrzeć... Teraz... po pół roku bez roboty... nigdzie nie chcą... tu tylko jeszcze... nie pogardzili...

Głuchy szloch przerwał ciche, trudne do zrozumienia bełkotanie. Padła na krzesło, trzęsąc się od płaczu.

Próżno uspokajała ją matka, tłomacząc, że—chociaż teraz nie może pracować, jak dawniej,—to przecież należy jej się emerytura w tych domach, które obszywała przez całe życie, więc niech będzie nią taka sama, jak przedtem, płaca.

Nie przestała trząść się zbiedzonem, wychudłem ciałem, nie przestała bełkotać.

— Dla takich... tylko przytułek, ale gdzie go szukać?—Nigdzie nie chcą, a życie sobie odebrać—grzech!..

Po godzinie tłomaczeń, próśb, nalegań, wzięła pieniądze.

Umówione zostało, że przychodzić będzie na cały tydzień co miesiąc za trzy złote dziennie.

Pierwszego miesiąca nie przyszła, na drugi—zarządzono poszukiwania.

Zniknęła bez śladu. Przebąkiwano o okradzeniu jej z kilkudziesięciu rubli, które przyniosła sześć tygodni temu, wracając z jakiejś roboty, i o wyrzuceniu za drzwi przez ludzi, wynajmujących jej kąt pokoju. Ktoś mówił, że wyjechała na wieś do krewnych. Prawdy nie doszło się nigdy.

* * *

Wiele lat później, gdy falą uderzył we mnie głód wiedzy naszych rzemieślnic, gdy—otworzywszy szkołę niedzielną dla pracownic,—co krok spotykałam łaknienie nauki tak silne, że aż bohaterskie;—gdy z przedmieść najdalszych, o milę drogi i więcej, przychodziły do mnie zastępy szwaczek, na ławkach szkolnych szukających wypoczynku po tygodniu roboczym; gdy w deszcz, słotę, nie opuszczając ani jednej godziny, biegły z odrobionemi w ciągu bezsennych nocy lekcyami i szkołę nazywały „najmilszą budą swoją",—wtedy pomyślałam o „Pannach Ludwikach".

Co my im dajemy? — Czem je karmimy?—Jakie światła wynoszą z domów naszych? — Jakimi kwiatami ścielemy ich drogę? — Czy kto zatroszczy się, żeby miały u nas coś więcej ponad kęsy z półmisków?—Czy podsuwamy im kiedy dobrą książkę?—Czy — w rozmowie zasiewamy plony myśli? — Czy przestajemy widzieć w nich numery robocze, których wolno nie spostrzegać nawet, gdy przechodzi się mimo nich?

Panna Ludwika zmartwychwstaje przedemną i patrzy mi w oczy z wyrzutem.

Może i ona miała głody, które szły za nią, choć była syta?

* * *

Panno Ludwiko, jak cień majaczysz przedemną, a na bladych wargach twoich skarga.

Za lata męki, za głody duszy, za kark twój zgięty, za poniewierkę życia całego, nie zapewniliśmy ci na starość łyżki strawy i dachu nad głową.

Cokolwiek dajemy ci w latach niedołęstwa twego, uważasz ty sama a i my z tobą za łaskę, gdy spracowanym rękom twoim należy się spokój wysłużony...

Gdzie ciche schronienie dla ciebie?— Gdzie kąt, w którym ty i siostry twoje mogłyby utulić bezpiecznie głowy udręczone?—Gdzie przystań błękitna, której obraz byłby ukojeniem waszem w chwilach lęku i niepokoju o wiek bezradności?.

Nie zrobiliśmy dla ciebie nic, a bez twoich skrzętnych, mrówczych zabiegów istnieć nie możemy.

Złorzeczysz nam?

Nie. Twoje usta strudzone dalekie są od klątwy.

Wybacz nam ciężkie przewiny. Zbudź nas twardą dolą swoją! Sama pomyśl o sobie i nam każ stanąć w szeregach. *Cecylia Walewska.*

Wyższe kształcenie kobiet.

Uniwersytet.—Kursy im. A. Baranieckiego w Krakowie.

Konieczność wyższego kształcenia kobiet jest dziś sprawą już rozstrzygniętą. Natomiast w każdej niemal rodzinie zjawia się troska, jak kształcić dziewczęta?

Obszerne sprawozdanie mamy z Kursów Baranieckiego, prowadzonych pod światłym kierunkiem znakomitego uczonego przyrodnika, prof. Uniw. Jagiellońskiego w Krakowie, Józefa Rostafińskiego. Rzuca ono na wiele kwestyi trafne światło. Dajemy je też w streszczeniu, bo niezawodnie w niejednym wypadku uwagi w niem pomieszczone przyczynią się do równowagi myśli na ten temat.

Kursa wyższe dla kobiet im. A. Baranieckiego nie współzawodniczą z uniwersytetem, bo mają inny cel. Uniwersytet ma szkoły zawodowe, jak np. lekarską, praw, rolniczą, teologiczną, szkołę kształcenia nauczycieli i farmaceutów, ale pozatem główny cel uniwersytetu to jest uczyć, w każdym odrębnym dziale nauki, myśleć i pracować samodzielnie. Nauka dla nauki—oto hasło uniwersytetu i jego najwyższe zadanie; specyalizacya nietylko na osobne nauki, ale nawet wśród jednej i tej samej nauki. O ogólnem kształceniu, zwłaszcza humanistycznem, niema nawet mowy. Która więc z kobiet inteligentnych i wiedzących, czego chcą, nie ma matury, lub nie ma na celu poświęcenia się wyłącznie pewnej specyalnej gałęzi wiedzy, ta nie powinna iść na uniwersytet. Można istotnie powiedzieć, że jeżeli dzieje się inaczej, to dzieje się ze szkodą całego społeczeństwa. Kobiety nie mogą się ogólnie kształcić na uniwersytecie, a jeżeli tam idą w takim celu, to marnują czas; o ile są inteligentne, czują to, zniechęcają się i próżnują,—nazywa się tylko, że chodzą na uniwersytet. Ponosi przez to szkodę i sama wszechnica.

Uznany oddawna postulat zapewnienia kobietom *wyższego ogólnego wykształcenia* rozwiązywano od połowy zeszłego stulecia powszechnie w ten sposób, że w miastach uniwersyteckich powstawały wyższe kursa naukowe dla kobiet, na których prelegentami są specyaliści naukowi, profesorowie uniwersytetu i szkół wyższych. Rzecz ta za granicą

jest już tak dalece przez społeczeństwo zrozumiana, *że w b. r. na uniwersytecie berlińskim było zapisanych 85 kobiet*, a tamże na wolnych kursach żeńskich przeszło 5,000.

U nas całkiem inaczej; u nas istnieje ciągle to nieporozumienie, że kobiety chcą szukać przeważnie *ogólnego* wyższego wykształcenia na uniwersytecie, gdzie go nie znajdują. Czas, aby pod tym względem nastąpiła reakcya. Czas, aby polki, chcące zapoznać się z nowymi wynikami wiedzy, zapisywały się na kursa Baranieckiego. Program tego bowiem zakładu oparty jest na zasadzie, aby do ogólnego wykształcenia dążyć przez plan znakomicie zestawiony, a wykonanie powierzać profesorom uniwersytetu lub szkół wyższych. Kto nie ma matury, ten np. wykładów języka polskiego na uniwersytecie absolutnie nie zrozumie, na kursach ma go wykładany przez wszystkie półrocza obu kursów. Obok przedmiotów zasadniczych, stanowiących zrąb nauk humanistycznych i przyrodniczych, jest cały szereg przedmiotów istotnie kształcących, jak psychologia, etyka, pedagogia, historya filozofii, język polski, historya konstytucyonalizmu, geografia kolonialna i t. d., których co rok słuchać można.

Kursa Baranieckiego, założone w roku 1868, mają trzy wydziały: literacki (humanistyczny), przyrodniczy i artystyczny, wypełniają zadanie ogólnego wykształcenia w dwuletnim okresie, a zatem w krótkim stosunkowo czasie, i to ze szczególnem uwzględnieniem XIX w. przez bardzo szerokie traktowanie tych czasów, najnowszej historyi i literatury.

Kursa Baranieckiego, zgromadzając w swych murach młodzież żeńską tak z ziem naszych, jak z przeróżnych stron obcych, spełniały wobec niej rolę wychowawcy w duchu polskim i można powiedzieć, że tym sposobem oddały niemałą usługę całemu społeczeństwu.

Ta tradycya kursów, żeby żyć jak w rodzinie, czuć i myśleć po polsku, pracować pilnie, wyrabiać sobie sąd samodzielny, stale się utrzymuje. Bogata biblioteka wzbogaca się rok rocznie najnowszymi nabytkami. Wydział artystyczny obejmuje rysunki, malarstwo, rzeźbę i specyalne wykłady anatomii artystycznej oraz perspektywy.

W roku szkolnym 1910/11, a istnienia kursów czterdziestym trzecim, zapisało się na wydziały literacki i przyrodniczy osób 99, na wydział artystyczny 41, jako uczenic nadzwyczajnych osób 25, razem 171.

Z pomiędzy 99 uczenic zwyczajnych (o 24 więcej, niż w r. zeszłym) było 72 zapisanych na oba półrocza; z tych uprawnionych 72 tylko 4 nie zdawało egzaminów, 24 otrzymało roczne świadectwa, a 44 nie skończyło ich jeszcze, ale może uzupełnić je po wakacyach. Ogółem wydano współczesnym lub dawniejszym uczenicom, które uzupełniły egzamina, 35 świadectw rocznych a 17 dyplomów z kursów naukowych.

Otrzymały dyplomy: Dziewulska z Malinowskich Jadwiga (uczenica z roku 1905/6), Policzkiewiczówna Marya (ucz. z r. 1908/9), *Kłokocka Marya (ucz. z r. 1909/10), Śliwowska Zofia (ucz. z r. 1909/10), Papée Zofia (ucz. z r. 1909/10) oraz następujące uczenice z roku 1910/11: *Buszówna Tekla, *Czajkowska Zofia, *Fortnerówna Irena, Goryczkówna Marya, *Karczewska Wanda, *Kochanowska Zofia, Korzeniowska Stefania, Łazowska Zofia, Łochtynówna Zofia, Silberring Eugenia, Szteinbokówna Janina, *Wojtkowska Walentyna (* przed nazwiskiem oznacza dyplom z odznaczeniem).

Na wydziale artystycznym w bieżącym roku otrzymały następujące uczenice odznaczenia: Kisielewska Wanda i Popielecka Helena pierwsze odznaczenie. Beringerówna Anna, Bosiewiczówna Zofia, Koncewska Jadwiga, Kraszewska Janina, Pocieszanka Helena—drugie odznaczenie. Filasiewiczówna Bronisława, Grotowska Janina, Hordziejewska Helena, Horwathówna Apolinara, Proszyńska Barbara i Sienkiewiczówna Eugenia—trzecie odznaczenie.

OSTOJA - SAWICKA.

SPÓŹNIONE SZCZĘŚCIE.

NOWELLA.

9)

— Ależ niech dystyngowane towarzystwo tak się nie kompromituje, podchwycił doktór, to już nasza rzecz, żeby te młode, nieśmiałe dziewczynki czuły się pomiędzy nami, jak w domu, my się o to postaramy. Ożywiony tą myślą, zbliżył się do dwu panienek i zaczął je wypytywać o wiek dzieci przyjętych do ochrony, o ich rodziców, jak przyjętą została owa nowość, dotąd nieznana w całej okolicy, i ku wielkiemu swemu zadowoleniu dowiedział się, że rodzice byli zachwyceni, a dzieci zdołały już stłuc dwie szyby i skradły klucz u drzwi wchodowych — to chłopaki chcą sobie fuzyę z tego klucza zrobić. My już go odbierzemy, opowiadały żywo, wesoło, a w oczach pogodnych znać było zapał i szczerą chęć do pracy.

— Będziemy pracować, mówił doktór, ściskając serdecznie ich ręce, a dziewczyny aż się mieniły z radości, że ich chęci gorące już zdobyły tu sympatyczny odgłos.

— Będziemy pracować, powtórzyły z silnem postanowieniem dotrzymania obietnicy, a p. Natalia, stanąwszy za plecami doktora, spoglądała na nie z ponad jego ramion; gdy ten zaś zwrócił się do dzieci, ona szeptem zawiadomiła ochroniarki, że dziś z powodu uroczystości otwarcia ochrony będą jadły wraz z dziećmi podwieczorek w pałacu, wyraźnie zaznaczając owe dziś, żeby się tym dzie-wczętom w głowach nie przewróciło, żeby nie przypuszczały, że fakt takiej uprzejmości może się kiedykolwiek powtórzyć, i nie czekając, aż doktór dosyta napieści się i nagada z dzieciakami, których przeszło pięćdziesięcioro tłoczyło się wokoło niego, wybiegła, żeby zarządzić przygotowania do owego podwieczorku, o którym nikomu we dworze dotąd się nie śniło; postanowiła przytem zabawić się w miluchną gosposię, w fartuszku z kluczykami za pasem. Sama będzie obchodziła dziatwę, nawet z dziewczynami porozmawia uprzejmie. Zamiar ten jednak zgasł jak błędny ognik, skoro doktór dopędziwszy ją w parku, oznajmił, że musi spieszyć do chorych i na podwieczorku nie będzie. Uczepiła się obiema rękami jego ręki i jak rozkapryszone dziecko powtarzała nadąsana wciąż: Ale to nasz dzień, doktorze, to nasz dzień, pan nie może, nie powinien nas opuszczać,—a gdy on obstawał przy swojem i zaraz o chorych nadmienił, ona przechyliwszy głowę na ramię, zaczęła się figlarnie namyślać w duszy: to może i tego podwieczorku nie trzeba?—odwołać jednak już nie wypada. On taki wścibski, mógłby się dowiedzieć od dzieci, czy od tych dwu jakichś tam panien, że podwieczorku wcale nie było, a wówczas znowu wykręty, wymówki. Zdecydowała się tedy przyjąć całą tę zgraję na werandzie, ale już o roli miluchnej gosposi nie myślała wcale. — Wróciwszy do domu, przedewszystkiem zasiadła do biurka, napisała do Julki, wzywając ją na wieś. Niech tam nie myśli, że ona się boi tej lafiryndy, albo może jest o nią zazdrosna. Poniosła tyle ofiar dla zdobycia go sobie, poświęciła nawet tę starą izbę przy gorzelni, w której dotąd zimowały zwykle karmne wieprze, a przedtem rezydowały woły opasowe, nawet tę izbę w murowanym budynku oddała dzieciom, dlatego tylko, że on sobie tego życzył, że on wciąż o tej ochronce mówił. — Za tyle ofiar on potrafi być wdzięczny, — nie zerwie harmonii dwu dusz dla jakiejś tam lekkomyślnej, zepsutej dziewczyny.

— Ale czy ona naprawdę zepsuta, rozmyślała, trapiona niepewnością, gdyż wszelkie plotki o Julce mogły się okazać zwykłemi plotkami. Czułe, dobre jej serce ściskało się z bólu na to przypomnienie. Wolałaby sama upaść najniżej niż się dowiedzieć, że ta szczerze przez nią nienawidzona Julka wcale dotąd nie upadła! Pocieszała się jednak nadzieją, że to jest rzeczą niemożliwą, służyła przecież za modelkę do kilku znanych i ogólnie podziwianych

obrazów; w takich warunkach niepodobna bronić swej niewinności, zresztą przecież zawsze była bezczelnie cyniczna; taka już na świat przyszła. Sama ją wychowała, wypieściła tę sierotkę po siostrze męża, chociaż widziała, że dziewczynka ma wrodzone szkaradne skłonności. Przyszła na świat jak gdyby z piętnem rozpusty na czole, miała w sobie jakąś bezczelną kokieteryę. P. Natalia miała nadzieję, że dobry przykład, moralne wychowanie wyleczy w dziecku te zgubne skłonności, robiła więc, co mogła, żeby z Julki zrobić uczciwą, moralną kobietę, przekonała się jednak wkrótce, że wszelkie usiłowania idą na marne; bezczelna kokieterya tłumiła w dziewczynie wszelkie lepsze, uczciwsze uczucia, objawiała się nieraz w formie tak gwałtownej że poradzić na to prawie nie było sposobu, gdyż dziecko, idąc za popędem swych instynktów, nie rozumiało ani uwag, nie zwracało uwagi na prośby i przestrogi, ulegało ślepo popędom swej gwałtownej natury. Maleńka dziewczynka biła bez litości swe rówieśnice, a tylko w gronie chłopaków bawiła się doskonale; to też zbierała dokoła siebie całe zastępy urwisów, krzyczała wniebogłosy, gdy która dziewczynka chciała ją pocałować, a za chłopakami biegała sama, jak zwaryowana! Lalki swe tłukła głowami o kamień, natomiast miała całą kolekcyę piłek, biczyków, któremi obdarzała swych ulubieńców. W wyborze towarzyszów nie była wybredna: bosy syn parobka i lalkowaty paniczyk z sąsiedztwa zarówno byli jej mili, byleby tylko ślepo poddawali się jej rozkazom; chłopakom chętnie oddawała swe zabawki, dla nich zbierała i chowała wszelkie przysmaki; dla dziewczynek miała tylko zły humor, kopała je i targała za warkocze. Raz na wesele lalki zaprosiła wszystkich chłopaków z miasteczka i z sąsiedztwa, ale ani jednej dziewczynki zaprosić nie chciała, a gdy pani Natalia zwróciła jej uwagę, że postępuje niegrzecznie: zaproszę je na pogrzeb, odpowiedziała z gniewem. I dla dorosłych panów była stokroć grzeczniejsza, niż dla pań; mężczyźni też obsypywali ją drobnymi podarkami, przepowiadając, że wyrośnie z czasem na śliczną pannę, kobiety zaś niecierpiały tej arogantki. Ona źle skończy—mówiły o niej stateczne panie, lubiące się bawić w przepowiednie.

Pomimo ładnej biało-różowej twarzyczki budziła wstręt nawet w ludziach dobrych i pobłażliwych: miała coś bezczelnego w oczach i w ustach wiecznie wilgotnych, pogardliwie skrzywionych, na każdą uwagę ludzi starszych pokazywała język i wsunąwszy głowę w ramiona uciekała, podrzucając biodrami, jak ulicznica! Takie łobuzerskie skłonności w dziewczynce z dobrego domu, wychowanej w pałacu, przerażały p. Natalię, natomiast stary wuj śmiał się z wybryków ukochanej Juleczki i opierał się wszelkiej systematycznej nauce, któraby uspokoiła zbyt rozbrykany temperament dziewczynki. Mokremi pieluchami chcesz gasić wrodzony temperament!—mówił ze zwykłym sobie sceptycyzmem! Dziewczyna ma krew rasową i okiełznać się nie da! Krew tę po mnie dziedziczy!—mówił stary zdechlak, prostując się dumnie. Podłą nie będzie, a że spali się bez pary w ogniu płomienistego temperamentu, to lepsze dla niej, niż powolne zdychanie anemiczno-cnotliwych zdechlaków! Ja się tam o nią nie boję i krzywdy jej zrobić nie dam, to moja krew—powtarzał dumnie, dokuczając tym sposobem żonie, którą zwykle traktował, jak gderliwą klucznicę. Gdybym się był z takim chodzącym piorunem ożenił, jak ta nasza Juleczka, dziś jeszcze byłbym młody i pełen energii, ale mając za żonę butelkę z octem, nie mogłem zachować pogodnego poglądu na świat i sam skwaśniałem zupełnie.

Gdy jednak Juleczka zaczynała dorastać, a temperament rozwijał się coraz gwałtowniej i przybierał kompromitujące objawy, stary wuj zgodził się oddać ją do klasztoru na naukę, aby tam w dobrem towarzystwie zamożnych koleżanek odzwyczaiła się od swych łobuzerskich manier i upodobań. Zrobią tam z niej uczoną małpeczkę, powtarzał z westchnieniem, zgaszą boski ogień w duszy, ale skoro kobieta chce być szczęśliwą, musi być lalką i małpeczką, odda więc ją do klasztoru, gdyż szczęścia jej psuć nie chce.

— Wychowanie, wychowanie, mruczał smutny po wyjeździe Julki, chodząc po pustych pokojach, w których już nie rozbrzmiewał wesoło śmiech młodej dziewczyny. Wychowanie, bierz was licho z waszem wychowaniem, zmarnują dziewczynę i basta. Zły był, ale skoro dał słowo, musiał się zgodzić na jej wyjazd. W wigilię wyjazdu Juleczka zwołała wszystkich swych znajomych chłopaków, a gdy zbitą masą napełnili podwórze, ona stojąc na ganku; oznajmiła im, że jutro wyjedzie, że jedzie się uczyć. I was pewnie do szkoły oddadzą, mówiła, kiwając smutnie główką. Nie rwała się do nauki i nie miała zamiaru zachęcać do niej swych wiernych towarzyszy zabawy.

(D. c. n.)

W JABŁONNIE.

Oto się Czasu rozsuwają ramy...
Pałac w Jabłonnie:.. Strojne, piękne damy,
I książę Józef i wróżka, co wróży
Księciu lot ptaka, słoneczny wśród burzy:

„Słuchaj! Twój rumak do boju się wspina,
Słuchaj! wybije wnet wielka godzina,
Opustoszeje swawolna Warszawa,
A w krwi i w dymie wzejdzie twoja sława...

Jak orzeł, przodem polecisz na boje,
A cześć i honor jest dziedzictwo twoje—
Widzę błysk jasny Twojego oręża,
Widzę błysk szabli Twojej, co zwycięża...

Orłowym pomkniesz, podsłonecznym lotem
I świat zadziwisz swych skrzydeł łopotem,
I królewskiego będziesz szukał gniazda
W duszy Narodu.—Tać jest Twoia gwiazda.

Umiłowaniem silny, w duszę męską
To wszystko weźmiesz, które było klęską,
I wypromienisz z tego wśród zawiei
Krzepiący promień Wiary i Nadziei...

I będziesz sławny między sławne wodze,
I przez świat pójdziesz w bitewnej pożodze,
I w huku armat słuchać będziesz słowa,
Co narodową w sobie przyszłość chowa...

Koń Twój złotemi zadzwoni podkowy
I poniesie Cię w rozbrzask—na dzień nowy,
Błyskawicami pisany na niebie...
Książę mój, Panie, Wodzu! Widzę Ciebie!...

Wśród chorągiewnych szumów, w walk [zamęcie,
Słońce masz jasne na swym firmamencie,
Zachód i wschód zaś połączyły dłonie,
Aby ci wawrzyn położyć na skronie...

Lecz strzeż się, Panie! Daleka, daleka,
Jest na Twej drodze, niby wstęga, rzeka...
Przez łąki kwietne krwawy nurt swój toczy...
Zatrzymał się Twój rumak... Strzeż się... [Skoczy...

Słyszę grzmot bitwy... Grają wszystkie [działa,
Błysk przeciął niebo..., Gwiazda Twa [zleciała...
Zadrżała ziemia... lecz w prochowym dymie
Widzę Twe jasne, Nieśmiertelne Imię...“

ZDZISŁAW DĘBICKI.

EUGENIA ŻMIJEWSKA.

Mały szkic wielkiej duszy.

(Urywek z Pamiętnika).

HENRYK SIENKIEWICZ.

Aplikowałam już z półtora roku w dziennikarstwie, pełniąc najłatwiejsze roboty, jak zwykle—terminator.

Pewnego dnia Sienkiewicz, będący podówczas kierownikiem działu literackiego w „Słowie“, oznajmia, że chce umieścić w felietonie przekład ślicznej powieści historycznej Wallace'a p. t. „Ben Hur“.

— Czy pani umie tłomaczyć?—pyta mnie.

— Próbowałam nieraz, ale zdaje mi się, że nie potrafię.

— To się pani źle zdaje. Trzeba spróbować. Przyślę pani książkę. Niech mi pani przetłomaczy jeden rozdział, na próbę. Zobaczymy.

— To, doprawdy, takie trudne?

Wcale nie. Bierze się papier, pióro, atrament. I ja nie miałem nic więcej, gdym zaczynał pisać...

Przekreślałam po dziesięć razy, przepisywałam, spać nie mogłam, wreszcie posłałam mu przetłomaczony rozdział.

Przyszedł nazajutrz z obu tomami powieści.

Zaraz od progu dodał mi otuchy.

— A widzi pani, że to nie tak trudno—rzekł. Trzeba trochę ufać w swoje siły. Niechże pani dalej tłomaczy. Ja będę poprawiał.

Moje tłomaczenie ścigało go po całej Europie. Czytał je, przerabiał całe zdania, na marginesie kreślił słowa zachęty, a to wśród podróży, choroby, wśród pracy nad „Rodziną Połanieckich“. Przytem, muszę dodać, że choć przepisywałam brulion, rękopis nie był czytelny i bardzo przezemnie pokreślony.

Chowam te kartki, nietylko jako autografy wielkiego człowieka, ale jako świadectwo niezwykłej tego wielkiego człowieka dobroci.

Tak, Sienkiewicz jest rozumnie i subtelnie dobrym.

Jego dobroć ujmuje wszystkich, którzy go znają, a zdobywa mu przyjaciół na śmierć i życie.

Dlatego kochanym jest przez wszystkich tych, którzy z nim żyją bliżej. A ujmuje nietylko dobrocią

Gdyby nawet nie dodawała mu uroku sława, gdyby był zwyczajnym *Panem Henrykiem* i wtedy nawet czarowałby ludzi niezrównanym wdziękiem, oczyma, które nie patrzą, lecz jakby śpiewają, głosem trafiającym wprost do serca, uprzejmem obejściem, wielkim umiarem przy wielkim rozmachu, wreszcie—wielką skromnością.

Powiadają wprawdzie, że skromność chodzi z wielkością w parze, lecz ten utarty komunał nie liczy się z ułomnościami natury ludzkiej. Atmosfera sławy zawiera mikroby; przenikają one i do wielkich umysłów, lecz nie zdołają zakazić — wielkich serc. Takiem jest serce Sienkiewicza.

A będąc skromnym, nie jest nim — tą skromnością fałszywą, przesadną, która się kurczy, do ziemi przysiada, a ogląda się, czy jej kto nie podniesie, nie wywyższy.

On wie, że „każde społeczeństwo jest łańcuchem ogniw, a w tym łańcuchu muszą być ogniwa większe i mniejsze“. Wie, że jest ogniwem wielkiem, ale go to nie napełnia pychą.

Skromnym jest prawdziwie, szczerze i dzisiaj jako sławny na świat cały—Sienkiewicz.

W tej swojej skromności uważa się za dłużnika swojego społeczeństwa, które dając mu wprawdzie dużo–tego wszystkiego, na co zasłużył, a więc: sławę, uznanie—wymaga od Sienkiewicza tego, co od wszystkich swych wielkich, a bodaj jeszcze więcej. Społeczeństwu wogóle się zdaje, że wzamian za czytanie książek, oglądanie obrazów wielkich literatów i artystów nabyło prawo — dyktować im rady, rozporządzać ich kieszenią, ich czasem, podpatrywać ich kroki, podsłuchiwać ich słowa.

Sienkiewicz jest człowiekiem najbardziej nudzonym w całej Polsce, ba — i za granicą.

Nie może ukryć swej aureoli—pod cylindrem.

Gdziekolwiek się obróci, „nagabują“ go reporterowie i „wielbiciele talentu“. Od banalnych i nudnych komplementów broni się niekiedy fortelem. Więc naprzykład reporterowi włoskiemu, który w Wenecyi, poznawszy go z portretów, rzucił się na niego, jak na pożądaną ofiarę wywiadu, z najzimniejszą krwią oświadczył, że nie jest Henrykiem Sienkiewiczem, lecz jego kuzynem, bardzo podobnym do autora „Quo Vadis“.

Nie uczyniłby tego w kraju, bo przywiązanie do rodaków każe mu przyjmować od nich i to, co go nudzi, skoro go darzą miłością.

Nudzą go przedewszystkiem — listy i zaprosiny. Samo czytanie stosu korespondencyi byłoby utrapieniem dostatecznem; zwiększają je dziwne pretensye, roszczenia i prośby w listach zawarte.

Gdyby zrealizować te wszystkie sumy, których domagano się od niego po uroczystościach jubileuszowych, możnaby *wywłaszczyć* już nie—Oblęgorek, lecz całe Kieleckie.

Gdyby chciał zadość uczynić wszystkim prośbom o autografy, musiałby napisać więcej tomów, niż ich zawiera zbiorowe wydanie jego dzieł. Pisują do niego nietylko damy, niepowołani doradcy, petenci, kołaczący do kieszeni, ale i biedacy, którzy sobie wyobrażają, że dla takiego mocarza pióra wszystko jest możliwem. Zdarza się nawet, że poczmistrz z głuchej prowincyi prosi o wstawienie się za nim do ministra.

Czytając te listy, Sienkiewicz uśmiecha się pobłażliwie — nie wyśmiewa nigdy, tak jak wogóle nigdy źle o nikim nie mówi.

Gdy chce się skupić, odpocząć, dawniej wyjeżdżał do Abakanowicza, na samotną wysepkę wśród oceanu Atlantyckiego, dziś jedzie do Oblęgorka, „roztapia się w ciszy“, lubuje życiem rodzinnem.

Skoro jednak znajdzie się wśród ludzi obcych, najnudniejszych nawet, miewa dla nich dobre słowa, uprzejme spojrzenia, równy humor.

Ileż to miernot literackich uważa, że przywilejem „autorów“ jest lekceważenie zwykłych śmiertelników, Sienkiewicz nie lekceważy nawet miernot—nawet literackich plotek, bo szanuje pracę każdą, a już każdym talentem cieszy się szczerze, po ojcowsku, cieszy się — dla Polski, bo każda myśl jego, każde słowo—każde uczucie ku niej się wzbija.

Obowiązki reprezentacyjne spełnia z prostotą i wdziękiem. Do takich obowiązków monarchowie wdrażani są od lat najmłodszych: uczą się przemawiać, odpowiadać na owacye.

On, pasowany monarchą przez swój geniusz, nosi purpurowy płaszcz z taką swobodą, jak gdyby go znalazł w kolebce, a przytem ze skromnością szczerą.

— Kto ma wierzch, ten musi mieć i podszewkę—odpowiedział kiedyś przyjacielowi, biadającemu nad nim, że ludzie nie dają mu spokoju.

Podszewka purpurowego płaszcza sławy jest zazwyczaj ostrą włosiennicą, a niepodobna odpruć jej od wierzchu, bo materya na dwie strony tkana: po jednej chwała, zaszczyty, posłuch u swoich i obcych — po drugiej, ciężka odpowiedzialność, ciężka praca, zmagania się wielkiego ducha, napaści, poszczekiwania zawistnych.

W imię zasady: nic darmo, za swe uwielbienie rodacy każą sobie płacić

w sposób rozmaity — mniej lub więcej przykry.

On płaci—hojnie, z prostotą, a potrafi jednem słówkiem osadzać na miejscu niezręczne objawy zachwytu lub wyprowadzać innych i siebie z kłopotliwego położenia, wytwarzanego nieraz przez ludzką głupotę, nawet gdy go pytają: „czy za największe arcydzieło uważa „Quo Vadis"".

Nie zapomnę zabawnego epizodu.

Pewien parweniusz, klepiąc go po ramieniu, mówił:

— Napisałeś pan tego Wołodyjowskiego ładnie—ani słowa!

Sienkiewicz uśmiechnął się, lecz spostrzegając, że córka owego jegomościa siedzi, jak na torturach, z całą uprzejmością odrzekł:

— Rad jestem, że się panu podobało. Ale że też pan, przy swoich zajęciach, ma czas czytywać powieści.

Takt i dobroć przewodniczą każdemu jego zetknięciu z ludźmi. Potrafi jednem słowem nadać ton naturalny towarzystwu, nastrojonemu uroczyście na rzecz jego. A trzeba dodać, że nie lubi obcych twarzy, licznych zgromadzeń, publicznych wystąpień; czuje się najlepiej w kółku rodzinnem, wśród ukochanych dzieci. We wszystkich okolicznościach życiowych jego troska biegła zawsze ku nim.

Największe wzruszenie, największe osobiste szczęście nie zdoła zagłuszyć w jego sercu ojcowskiem myśli o tych dwu drogich głowach. Niestrudzony był w swych staraniach i zabiegach, aby hygienicznem wychowaniem zapewnić im zdrowie.

Dzięki jego troskliwości i pieczy babki, zacnej rozumnej matrony, będącej uosobieniem cnót staropolskich, te dzieci wyrosły na ludzi niepowszednich.

Starał się usilnie, aby ich świat nie zepsuł, odgradzał ich od pochwał, w cień zasuwał. Podczas jubileuszu, specyalnie prosił pisma aby nie wspominały nic o dzieciach.

Ale sam mówi o nich z wielkiem upodobaniem w gronie najbliższem; cieszy się dowodami ich dojrzałości umysłowej, ich szlachetnych zapatrywań i czynów, a najchętniej wspomina ich lata dziecinne, te chwile, gdy bawiąc się z nimi na dywanie, udawał niedźwiedzia, gdy nosił je „na barana", gdy im opowiadał bajeczki.

Dziś one nietylko biorą puściznę sławy, starają się ją pomnażać. Córka zdobywa imię w literaturze mistrzowskimi wprost przekładami i sięga po wawrzyny na polu malarstwa. Syn, ukończywszy studya architektoniczne, jest budowniczym przy Wawelu. Drogie Polsce imię wskrzesiciela przeszłości łączy się znowu chlubnie z najdroższym przeszłości zabytkiem.

Natura bujna, potrzeba wrażeń, wiodła Sienkiewicza w świat szeroki—w nim czerpał natchnienie, ale szczęście znajdował i znajduje tylko w domu, gdzie od lat siedmiu uzupełnia to szczęście towarzyszka, rozumna i kochająca, Marya z Babskich, żyjąca nim i dla niego.

Z tygodnia na tydzień.

Mamy spór o święta.

Sprawa świąt rozmaicie się przedstawia w różnych krajach.

Obyczaj protestancki zniósł niektóre dni wypoczynku. Państwo we Francyi, i w niektórych kantonach Szwajcaryi zostawiło tylko sześć dni wypoczynku poza niedzielami. Naogół więc w krajach bardziej katolickich pracowano mniejszą ilość dni w roku, aniżeli w protestanckich lub mniej katolickich. Stąd częste dawały się słyszeć oskarżenia, że katolicyzm sprzyja lenistwu i niedostatecznie wyrabia w ludziach cnotę pracy. Ojciec święty wziął tę sprawę pod uwagę i zniósł obowiązek świętowania w pewne dni dotychczas świąteczne, jak np. drugie święto Wielkiejnocy i Bożego Narodzenia.

Jednakże nowy dekret papieski wydany został z całą ostrożnością, właściwą tym aktom, i zostawiono w nim tyle wolności w świętowaniu, ile to za właściwe uznają biskupi poszczególnych dyecezyi. W ten sposób niema przeszkody, aby gdziekolwiek istnieje, czczone było święto narodowe.

Wydawało się dotychczas, że opinia pragnie, aby pozostało wszystko po staremu. Ci co w dni powszednie pracują, a w święto jedynie odpoczywaja, świat nas robotniczy, rzemieślniczy i urzędniczy, oświadczył się wszędzie, gdzie było go słychać, za pozostawieniem dawnej normy świąt. I już policzywszy się z tymi głosami, ks. biskup kujawsko-kaliski oznajmił, że nie ma zamiaru narazie zmniejszać ludziom świętowania.

Ale tę sprawę niektóre nasze instytucye wzięły oto pod rozbiór ściślejszy i przygotowywaną jest narada w tym celu przedstawicieli naszego przemysłowego i kupieckiego świata.

Bardzo to pomyślna wiadomość. Idzie bowiem o to, żeby cały kraj zyskał na rozstrzygnięciu tej sprawy, a nie jedne tylko klasy poszczególne: pracownicy, w razie zmniejszenia ilości świąt, pracodawcy w razie ich powiększenia.

Niebardzo rozumiem tylko, dlaczego obrady zapowiadane są poufne. Przeciwnie, jestto zbyt pomyślna okazya do dyskusyi publicznej, którą tym razem z wyjątkową swobodą poprowadzić będzie można. I dlatego zamknięcie drzwi w pokoju obrad tych uważamy za niewłaściwe a nawet karygodne i z góry przeciwko temu protestujemy.

Tymczasem dyskusya publiczna w prasie, dyskusya przygotowawcza i wstępna już się toczy. I walkę argumentów organizuje! Czcigodny Bolesław Prus jest zwolennikiem zmniejszenia ilości świąt, wytrawny i doświadczony Antoni Donimirski za pozostawieniem wszystkiego w stanie obecnym przemawia.

Prus zażądał od statystyki pomocy. Policzmy, — powiada,—co zarabia człowiek w 305 dni pracy, a co zarabia w 290 dni. Zwłaszcza jeżeli, pierwszy będzie pracował 10 a drugi tylko 9 godzin. Tysiąc robotników pierwszej kategoryi zarobi przez lat 25: aż 53 miliony rubli, a drudzy tylko 45 milionów rubli. A więc drudzy ominą sposobność do wyprodukowania bogactw narodowych za siedem milionów rubli.

Donimirski na to odpowiada, że nasi robotnicy pracują przedewszystkiem mniej, aniżeli obcy, dlatego, że zmniejszyli sobie dzień pracy do godzin dziewięciu, a nawet w przemyśle budowlanym do ośmiu, podczas gdy za granicą normalny dzień pracy jest dziś jeszcze dziesięciogodzinny. I że, dalej robotnik polski świętuje we wszystkie nieistniejące w kościele: „trzecie święta", a także w dużą ilość poniedziałków. Jest nawet termin specyalny na to: poniedziałkować. Ilość świąt u nas poza niedzielami wynosi 15. Z tych parę przypada jeszcze na niedzielę. Święta Nowego Roku ani świętego Stanisława (w niektórych stronach świętego Wojciecha), które wyrabia się na święto o charakterze narodowym, znieść pewno reformatorzy nie zechcą. Pozostaje spór o kilka dni świątecznych w roku. A więc spór stosunkowo drobny.

Gdyby więc wyliczeniom Prusa nic nie można było zarzucić ze stanowiska ekonomicznego, i tak poprawa główna do osiągnięcia powinnaby być zwrócona w stronę poniedziałkowania i tracenia na Zielone Świątki dni 3, na Boże Narodzenie dni 4 a na Wielkanoc aż dni 5-ciu. Dajmy na te święta po dni dwa, jak daje dotychczas Kościół, a odrazu przez reformę obyczajową, bez reformy kościelnej, zyskamy sześć dni pracy na rok.

A poniedziałkowanie?

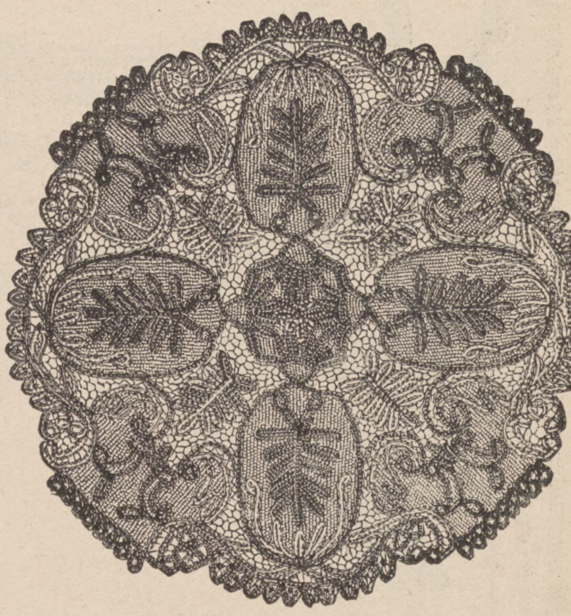
Przed mojemi oczami od lat kilku odbywają się roboty budowlane. W poniedziałki zalega na budowie cisza, jakby to była niedziela. I to jednakowo było wtedy, gdy mularz pracował godzin jedenaście, jak i teraz gdy o piątej po południu robi sobie: fajerant.

To, co tu mówię, bynajmniej kwestyi świąt nie przesądza. Ale, jak myślę, wskazuje z oczywistością, że nie w świętach kościelnych bynajmniej leży sprawa większej albo mniejszej intensywności pracy u nas i znaczniejszego albo uboższego wytwarzania bogactw narodowych.

Wincenty Kosiakiewicz.



N. 1. Kapelusz jesienny dla młodej panienki. Patrz ryc. 1a.



N. 1a. Denko do kapelusza ryc. 1.

Opisy do N-ru 38-go.

N. 1. Kapelusz jesienny dla młodej panienki. Patrz ryc. 1a.

Oryginalną i modną nowość przedstawia denko koronkowe, pokrywające kapelusz miękki filcowy lub aksamitny, czy jedwabny podszyty aksamitem. Denko kupione w magazynie kosztuje drogo, ale można odrobić je własnoręcznie z tasiemeczki złotej lub srebrnej, naszytej na srebrnym tiulu (tiul i tasiemeczka srebrna są oksydowane). Robota jest taka, jak przy koronce irlandzkiej lub point-lace; deseń z tasiemeczki łączą pręciki i kratka z nici złotych czy srebrnych, ale połączenia jest mało, gdyż zastępuje je tiul w duże oczka. Skończywszy robotę, trzeba przeprasować denko, podłożywszy miękkie sukno i przykrywszy chusteczką. Rycina 1 przedstawia kapelusz z czarnego jedwabnego repsu, podszyty aksamitem, pokryty denkiem koronkowem, na którem z lewego boku przypięta kitka rajskich albo czaplich piórek. Denko może być czarne lub szare, odpowiednio do koloru kapelusza; moda każe brzeg ronda zakończyć wąską listewką marabout, lisów niebieskich, opposum lub t. p.

N. 2. Kostyum aksamitny.

Potrzeba na niego aksamitu czarnego, do przybrania zaś kawałek sukna białego, białego batystu jedwabnego, czarnego wypukłego haftu lub gipiury, do naszycia na suknie, co można zastąpić wyszyciem z sutaszu; 4 duże ozdobne guziki, 6 małych atłasowych guziczków. Całość składa się ze spódnicy z tuniką fartuszkową, przyszytej do stanika z kołnierzem wykładanym, mankietami i gorsecikowym paskiem z białego sukna z czarnym haftem czy gipiurą. Głębszy wykrój szyi z przodu dopełnia maleńka szmizetka biała zmarszczona z batystu. Żakiet zwierzchni na jedwabnej podszewce, szeroko rozchodzący się z przodu, ma kołnierz kapturkowy, z przodu zastępujący ranwersy. Kapelusz Niniche biały filcowy, przewiązany czarną aksamitką, pokrywają pióra strusie.

N. 3. Suknia biała z czarnym haftem.

Moda łączenia koloru białego z czarnym zastosowana jest na ryc. 3 jako model sukni do lekkiej żałoby. Białe sukno, kaszmir lub



N. 2. Kostyum aksamitny.

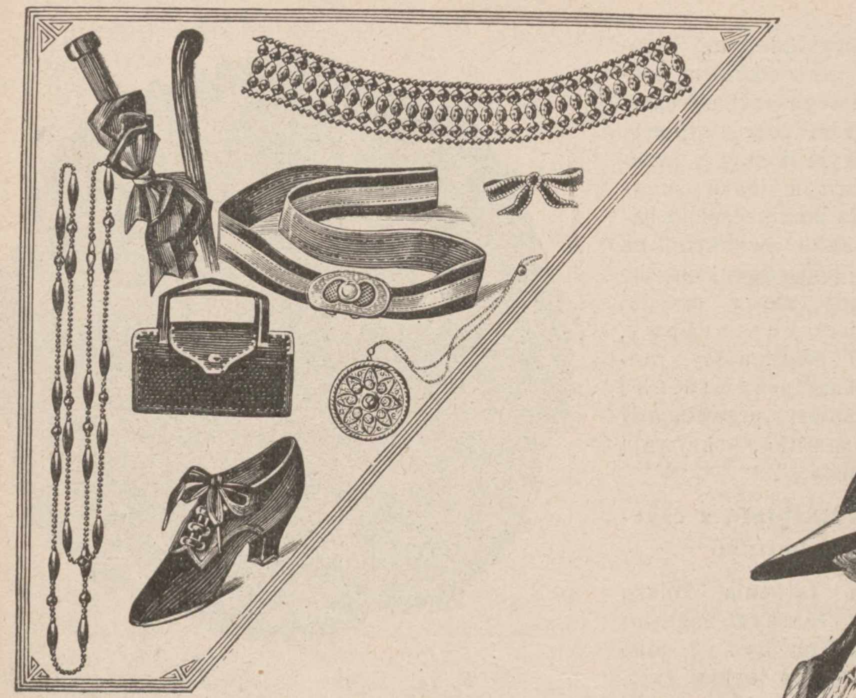
voile zdobi 26 c. szeroki szlak haftu ażurowego, wykonany czarnym jedwabiem wprost na sukni, lub na oddzielnym materyale. Bluzka kimono z tyłu zapinana, zaszyta na ramionach w drobne zakładeczki, ma środkiem przodu pas haftu, idący jakby w przedłużeniu od spódnicy; takiż haft na plecach musi być przedzielony dla zapięcia na kryte haftki. Przy wykroju szyi plisowanie z białego jedwabnego muślinu, zakończone wąziutką czarną aksamitką. U dołu sukni wokoło plisa aksamitna 10 c. szeroka, u rękawów 5 c. szeroka; takiż pasek i kokarda pod szyją, z dwóch płaskich pukli.

N. 4. Kostyum spacerowy z żakietem.

Odrobiony z grubego szewiotu, może służyć do codziennego ubrania, zarówno dla młodej jak i dla starszej osoby; różnicę stanowić będzie kolor. Gładka spódnica w cztery bryty, ma wąski przód, podłożony przy lewym brzegu w zakładkę, 4 c. szeroką, zaś tylny bryt, podłożony z obydwóch stron i zastebnowany wierzchem o 10 c. od brzegów, tworzy szeroką kontrafałdę; górny brzeg sukni podszyty paskiem gorsecikowym. Dość długi żakiet ma przody i plecy przecięte wzdłuż; rękawy z mankietem przyciśniętym pięcioma guziczkami; dwa wielkie guziki zapinają przody. Kołnierz futrzany i mufka odpowiednia.

N. 5. Płaszczyk z kołnierzem futrzanym i wyszyciem.

W ciemnym kolorze, z tańszem futrem, służyć będzie jako codzienne okrycie zimowe; w modnym kolorze, ozdobiony wyszyciem pletnią i droższem futrem na kołnierz i mankiety, stanowi bardzo szykowne okrycie spacerowe. Model do ryc. 5 zgrabną formą *empire* odrobiony był z *mousse* jasno-fiołkowego, z kołnierzem fokowym, naszyty pletnią ¾ c. szeroką, przybrany 5 c. szeroką lila aksamitką i dwoma wielkimi guzikami z konchy, mieniącymi się w odcień lila. Krótki stanik dopełniają trzy bryty dolne, z których szeroki bryt tylny zdobi przedłużone od pleców wyszycie, dane na prawej połowie przodu skośnie, w bardzo szerokim pasie. Kołnierz futrzany z przodu krzyżowany, na plecach ścięty prosto formą marynarską. Zapięcie z przodu stanowi wielka, skośnie przyszyta patka z aksamitki, otoczona pletnią, założoną w pentelki do zapinania na guziki. Rękawy rozszerzone u dołu zdobi wyszycie a zakończa futro.



N. 11—18. Wykończenie ubrania i biżuterya do żałoby.

N. 6. Kostyum z szalowym kołnierzem.

Popielaty sukienny kostyum ma spódnicę w trzy bryty, złączoną z lewego boku w ten sposób, iż brzegi brytów, podłożone do spodu, przystebnowane są wierzchem jako fałdy, na oddzielnym kawałku materyału rozszerzonym do dołu, tylny bryt złożony również w kontrafałdę. Żakiet z przodami przeciętemi skośnie, ma kołnierz marynarski przedłużony z przodu w ranwersy, sięgające aż do brzegu skośnie ściętej baskiny; materya liberty lub aksamit służy do pokrycia kołnierza i mankietów.

N. 7—10. Ubranie do grubej żałoby.

N. 7. Suknia z szeroką plerezą krepową.

Czarny matowy kaszmir służy na suknię, złożoną z dwóch brytów i w odstępie 3 c. od brzegu naszytą plisą z angielskiej krepy (pleureuse) 35 c. szeroką. Górny brzeg spódnicy przyczepiony z przodu do stanika podszewkowego z tyłu zapinanego, na którym dopasowana bluzka kimono, zeszyta wierzchem ramion i rękawów, tudzież od spodu rękawów i boków. Karczek krepowy przyciśnięty 15 c. szerokiemi szelkami krepowemi, przy których idą trzy rzędy matowej pletni wąziutkiej. Rękawy naszyte plisą krepową, zmarszczone u dołu do paska 4 c. szerokiego. Kapelusz kaszmirowy lub filcowy, przybrany krepą, trzeba dopełnić welonem krepowym. Rękawiczki duńskie matowe.



N. 3. Suknia biała sukienna z czarnym haftem i aksamitem



N. 4. Kostyum spacerowy z żakietem. N. 5. Płaszczyk z kołnierzem futrzanym i wyszyciem. N. 6. Kostyum z szalowym kołnierzem.

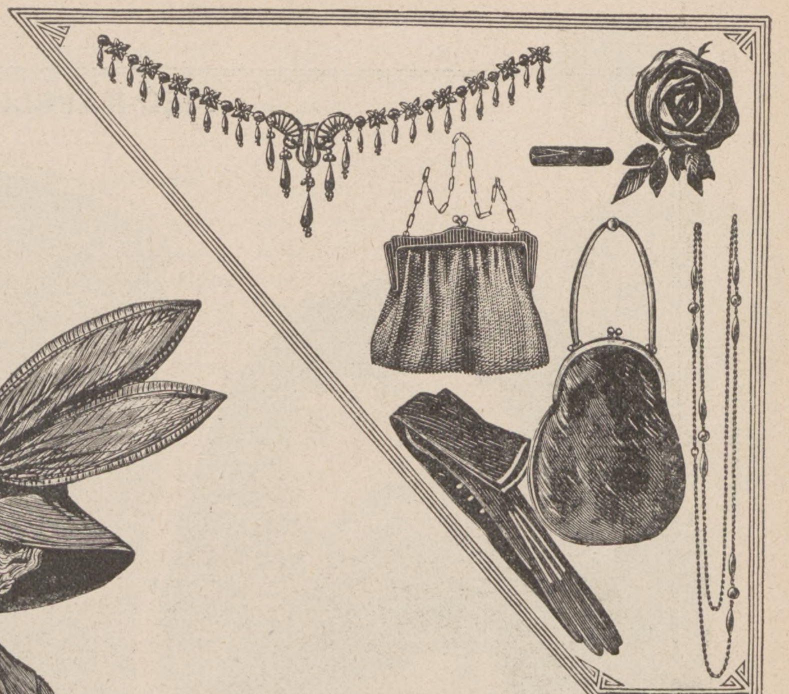
N. 8. Ubranie żałobne z trenem.

Pod koniec żałoby można zamiast matowej wełny użyć na suknię jedwabnej matowej etaminy a przybrać pliskami z krepy angielskiej i wszywką gipiurową. Na staniku podszewkowym z tyłu zapinanym, przyczepia się wązki karczek krepowy z kołnierzykiem stojącym. Wierzch bluzkowy formą kimono kraje się w całości i tylko rękawy uzupełnia częścią spodnią; wązkie rękawy podszewkowe wszyte do staniczka trzeba u do-łu naszyć krepą. Spódnica z trenem złożona z dwóch brytów kloszowych, naszyta dwiema pliskami krepowemi po 5 c. szerokiemi; górnybrzeg po daniu zaszewek na biodrach łączy się ze stanikiem, szew kryje wszywka. Oryginalne dopełnienie stanowi rodzaj plastronu, spadającego krótko z przodu, aż do trenu sukni z tyłu; brzegi wokoło otoczone wypustką krepową

i naszyte wszywką gipiurową. Kapelusz formą płaskiego toczka z marszczonej krepy, przykryty welonem, przypiętym na róg; z przodu na twarz spuszczona woalka tiulowa, zakończona pliską krepową.



N. 7. Suknia z szeroką plerezą krepową. N. 8. Ubranie żałobne z trenem.



N. 19—25. Wykończenie ubrania i biżuterya do żałoby

N. 9. Kostyum do żałoby.

Odrobiony z *drap satin*, składa się ze spódnicy gorsecikowej, krajanej w dwa bryty i naszytej tunikowo szeroką plisą en forme, zakończoną z brzegów wypustką krepową. Żakiet z odciętą z przodu i z boków baskiną, z naśladowanem przypięciem na guziki. Kołnierz maryarski zachodzin pod ranwersy, kryte krepą; wzdłuż rękawów naszyte guziczki krepowe. Żabot plisowany tiulowy.

N. 10. Suknia żałobna.

Kaszmir lub voile służy na suknię, przybraną krepą i grubym haftem maszynowym,



N. 9. Kostyum do żałoby. N. 10. Suknia żałobna.

PIĘĆ KAPELUSZY Z JEDNEGO FASONU.



N. 27. Kapelusz przybrany sznurem i kitką, ma rondo wywinięte z przodu.



N. 26. Fason miękki filcowy dający się wygiąć i przybrać w pięciu odmianach.



N. 28 Kapelusz z rondem wywiniętem równo w około, przybrany piórem nie fryzowanem.



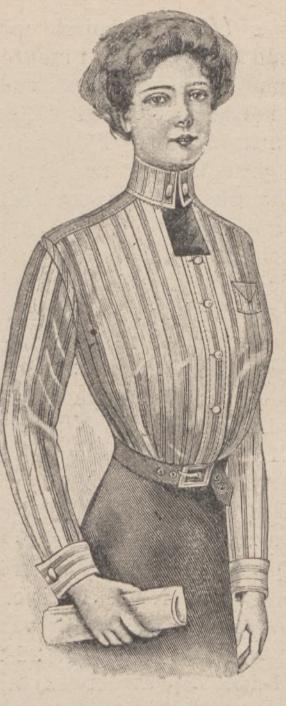
N. 29. Kapelusz przybrany białą koronkową woalką.



N. 30. Kapelusz na dnie słotne, przybrany węzłem z wstążki.



N. 31. Kapelusz z rondem przyciśniętem kokardą z lewego boku.



N. 32. Bluzka koszulkowa angielska.

9 c. szerokim. Na staniku podszewkowym z tyłu zapinanym przyczepia się karczek krepowy z kołnierzykiem stojącym; rękawy wązkie, pokryte mankietem krepowym, 20 c. wysokim. Wierzch bluzkowy formą kimono, przybrany haftem, naszytym w formie kołnierza szalowego, dopełnia przestebnowana część dolna gorsecikowa, z przodu na środku podwyższona nakształt plastronu. Rękawy kimono oszyte szlakiem. Spódnica odcięta na biodrach do karczka, z tyłu ma spuszczany wązki oddzielny bryt nakształt szarfy; zeszycie ze stanikiem kryje warkocz, płasko pleciony z krepy.

N. 11—25. Przybory i ozdoby żałobne.

Półbuciki, rękawiczki i woreczki są z matowej duńskiej skórki z okuciem oksydowanem lub stalowem; rękawiczki ryc. 23 zwracają uwagę szwami biało stebnowanemi i białą wypustką u dołu. Woreczek ryc. 22 jest ze skórki karbowanej, jak krepa. Łańcuszki do zegarka, ryc. 11 i 25, są z perełek drewnianych lub z masy matowej do grubej żałoby a z dżetu szlifowanego i połyskującego, do lżejszej, podobnie jak naszyjniki, ryc. 12 i 19, tudzież broszka ryc. 20, na ryc. 16 broszka formą kokardy jest srebrna oksydowana przewleczona aksamitką. Rycina 15 przedstawia do lekkiej żałoby dla młodej panienki pasek, ze skórki czarnej, pokrytej przystebnowanym paseczkiem białej skórki; klamra srebrna. Medalion na szyję (pendentif), zawieszony na delikatnym stalowym łańcuszku ryc. 18, odrobiony ze stali i ametystów. Róża ryc. 21 zwijana jest ręcznie z materyi czarnej, chiffon lub muślinu jedwabnego i służy do kapeluszy lub jako zakończenie żabotu.

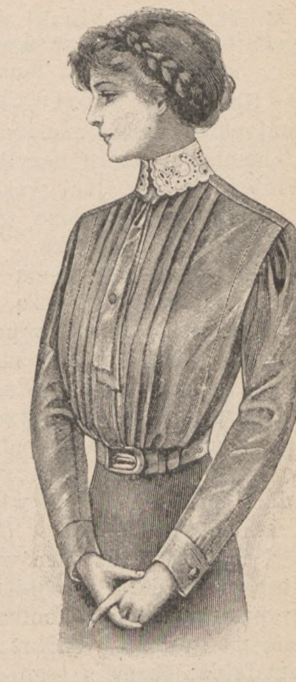
N. 26—31. Pięć kapeluszy z jednego.

Młodym osobom mieszkającym na wsi, lub na dalekiej prowincyi, które nie mogą w każdej chwili kupić fason kapelusza, dajemy dziś na kilku rycinach wzory, jak jeden kapelusz można przerobić na pięć odmian. Trzeba tylko posiadać jeden miękki filcowy fason, w dobrym gatunku, a do tego mieć



N. 53. Sukienka fałdowana (odpowiednia jako mundurek.

w domu wstążkę czy aksamitkę, skrzydełko, kitkę, pióro gładkie lub leżącą bezużytecznie białą koronkową woalkę. Fasonik miękki, podszyty aksamitem, da się wygiąć w zgrabnych rękach w różny sposób, jak najlepiej do twarzy i włożyć na głowę również w rozmaity sposób, zależnie od rysów twarzy i uczesania: nasuwać na czoło, zsuwać z głowy, przechylić ku prawej czy lewej stronie—to już rozstrzygnie gust osobisty i lustro doradzi. Dla ułatwienia dajemy kilka szczegółów o każdej rycinie; ryc. 27 przedstawia fason wygięty dyademowo z przodu, opasany sznurem jedwabnym lub torsadą, z pod której z tyłu główki wystaje kitka biała; kapelusz włożony równo, prosto i dość głęboko na czoło. Ryc. 28 daje ten sam model z rondem równo wokoło wywiniętem, lekko przygiętem z boków, przybranem niefryzowanem strusiem piórem, przypiętem ku przodowi. Na ryc. 29 ten sam fasonik, przeistoczony na wizytowy kapelusz, ma rondo z prawej strony wysoko, z lewej nizko odwinięte; z wierzchu cały pokryty piękną białą woalką lub szalikiem koronkowym (chantilly).



N. 34. Bluzka z zakładkami (może z gładką spódniczką stanowić mundurek).

Jeżeli potrzeba kapelusza na słoty jesienne, który możnaby śmiało przycisnąć zarzuconym na głowę i szyję szalikiem jedwabnym, to nic lepszego nad model ryc. 30 mający za jedyne przybranie węzeł z wstążki (noeud chapelier), przypięty na środku z przodu. Do codziennego wyjścia służyć będzie tenże sam fason (ryc. 31) z jednej strony wysunięty szeroko i płasko, z drugiej wywinięty i przyciśnięty zachodzącą na rondko sutą rozetą, z wstążki fałdowanej i zeszytej w kółko a na środku przypiętej płaską kokardą; kapelusz zachodzi bardzo głęboko na czoło i aż do lewego ucha.





N. 35—35a. Płaszczyk zimowy na futrze.





N. 36—36a. Płaszczyk z rękawami kimono.

N. 32—34. Dwie bluzki do gładkich spódniczek i sukienka w kontrafałdy (odpowiednia na mundurek).

Spełniając życzenia, wyrażone w liście jednej pensyonarki, zamieszczamy dwie bluzki (chemisier), które uszyte z wełny odpowiedniego koloru (jaki wskazany jest na każdej pensyi) i dopełnione gładką spódniczką, złożą całość mundurka. Specyalnych fasonów na mundurki niema — gładka sukienka jest najpraktyczniejszą, bo najłatwiej daje się oczyścić, uprać w panamie. Ponieważ obecnie gładkie suknie modne były bardzo wązkie, nieodpowiednie dla panienek chodzących na pensyę, dajemy wzór sukni w kontrafałdy, zastebnowane do połowy długości; spódnicę szyje się bez podszewki. Bluzka, na gładkiej podszewce, ma wierzch nie przecięty na ramionach, złożony w dwie boczne kontrafałdy, idące wzdłuż pleców skośnie, z małym odstępem u dołu, środkiem przodu dodana przy prawej połowie kontrafałda, kryjąca zapięcie na guziki. Wzdłuż rękawów złożona kontrafałda; pasek z tego samego materyału. Fartuszek alpagowy uszyć podług ryc. 22 do 29 w N-rze 18 „Tygodnika“, gdzie są i formy, dane na arkuszu z krojami.

Rycina 32 przedstawia bluzkę z materyału w paski, podług której można uszyć bluzkę do mundurka, zapiętą środkiem przodu na guziki; forma składa się tylko z przodów i pleców. Druga bluzka ryc. 33, uszyta na gładkiej podszewce, ma wierzch przodów zastebnowany w zakładki, zachodzące brzegiem jedna na drugą, iż szwów nie widać. Środkowa kontrafałda 5 c. szeroka kryje zapięcie; rękawy o jednym szwie wszyte w pachę pod zakładką; szew ramion przysłania wierzchem stebnowane ramiączko.

N. 35—35a. Płaszczyk zimowy na futrze.

Zaleca się wygodną formą, odpowiednią i dla starszej osoby, złożoną z wolnych pleców, odciętych do stanu i krajanych razem z rękawami, które mogą być gładkie i trochę rozszerzone u dołu, albo odcięte krócej i przymarszczone do mankieta. naszytego przybraniem. Jak widać na ryc. 35—35a. przybranie składa się z szerokiej taśmy i wyszycia sutaszem, danego skośnie na prawej połowie przodu i u dołu pleców. Zapięcie stanowi patka z taśmy; szeroki kołnierz z nurków.

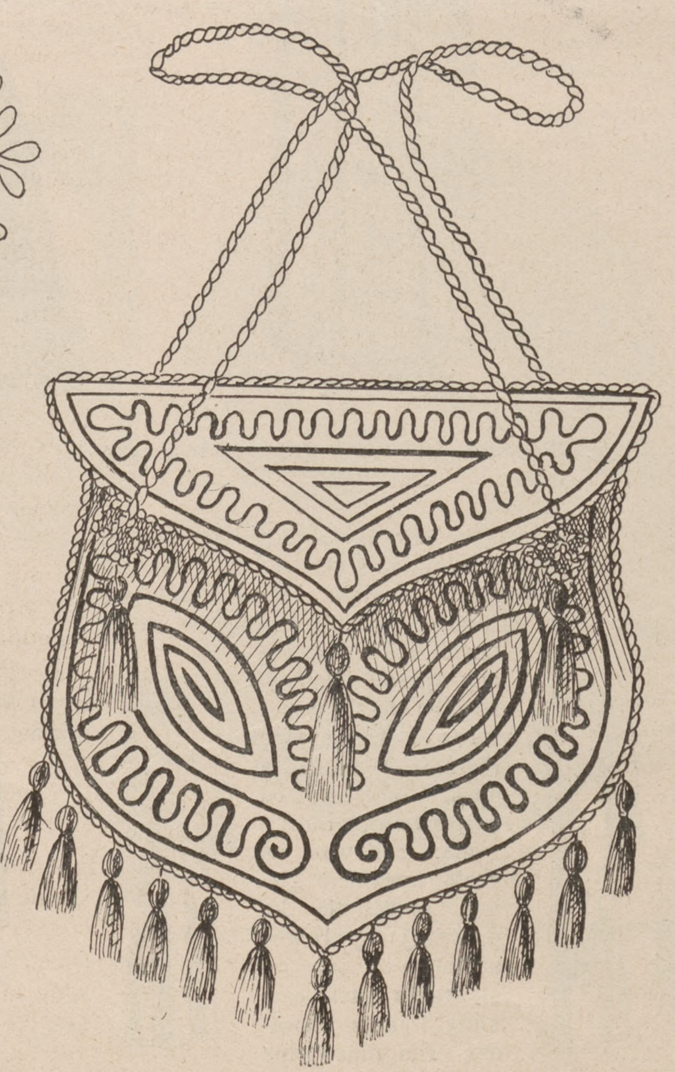
N. 36—36a. Płaszczyk z rękawami kimono.

Model z cover-coat ma plecy lekko wpadające do figury, a przody wolne, falujące u dołu; kołnierz i obłożenie rękawów dane z opposum.

„Pensyonarce“ z Ur. Uprzejmie prosimy o uważny przegląd tegorocznych numerów „Tygodnika Mód“, a znajdzie pani bardzo wiele sukienek, z których każda może służyć jako wzór do odrobienia mundurka — byle dobrać materyał w kolorze przepisanym na pensyi. Mundurki u nas nigdy nie miały specyalnego fasonu, a zawsze wyróżniają się tylko prostotą i brakiem wszelkich garnirunków (zbiorników kurzu). Spódniczka w kliny i bluzka, to fason od dawnych lat ustalony. Wyliczamy ryciny, znajdujące się w ciągu roku bieżącego: w N-rze 1 „Tygodnika Mód“ ryc. 36 i 40; w N. 3 ryc. 5 do 10 —w N-rze 5 ryc. 1 i 4— w N-rze 8 ryc. 11, 14 i 15 — w N-rze 12 ryc. 2 — w N-rze 13 ryc. 13 — w N-rze 16 ryc. 4, 5 i 8 do 13 — w N-rze 17 ryc. 9-10 — w N-rze 22 ryc. 5 do 8 — w N-rze 27 ryc. 2; przy kilku są i kroje na arkuszu. Rękawy tylko trzeba przedłużyć, jeżeli są krótkie. Bluzki gładkie były w N-rze 12 ryc. 7 i ryc. 11 do 16 — w N-rze 25. Fartuszki bardzo zgrabne były w N-rze 18 ryc. 22-29 i w N-rze 28 ryc. 11-15. Sprawdziwszy niewinność „Tygodnika“, po uważnym przeglądzie rycin, nabierze pani przekonania, że pamiętamy o wszystkiem dla wszystkich. W jednym z najbliższych N-rów zamieścimy znów bluzki i sukienkę, odpowiednie jako mundurek.



Róg do chusteczki batystowej.



Woreczek wyszyty sutaszem.



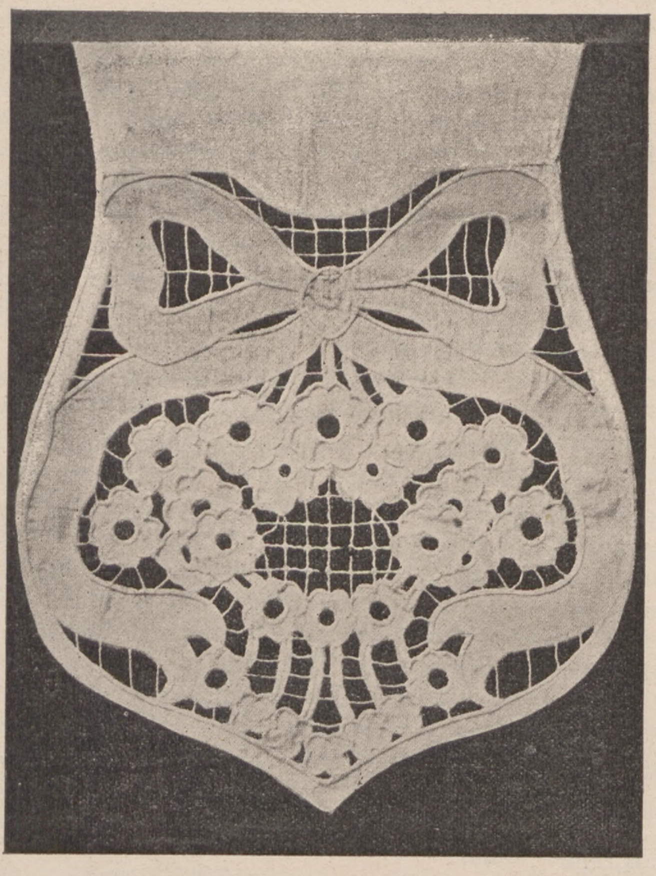
Róg do chusteczki batystowej.

Roboty ręczne.

Woreczki, zastępujące kieszenie, tak potrzebne, że się bez nich obyć nie można, noszone są w dalszym ciągu. Widzimy je rozmaite i jako forma i jako materyał, z którego są zrobione. Każda z pań może sama woreczek taki wyhaftować zastosowany do sukni, lub ze starej materyi uszyć, przehaftowując deseń materyi złotą nitką lub siatką. Ale zawsze najładniejsze są, o ile artystycznie ułożony i wykonany będzie haft ręczny, w którym się cały gust ujawni.

Na rysunku podane są dwa woreczki, jeden wyszyty sutaszem na suknie, jedwabiu lub płótnie, ozdobiony chwaścikami, rysunek tak łatwy, że ułożyć go może każdy. Drugi oryginalny rysunek, robiony sposobem haftu Richelieu na suknie, dzierga się tym samym cieniem co sukno, miejsca wycięte zarabia się siatką, z kordonku tegoż koloru; całość po skończeniu podszywa się miękkim jedwabiem liberty w kolorze dowolnym, wokoło oszywa się frendzelką, u góry ściąga sznurkiem jedwabnym, długim, do zawieszenia przez ramię.

Dwa rysunki do chusteczek baty-



Rysunek zmniejszony haftu na woreczek.

stowych, ząbki dziergane, gwiazdki wyhaftowane atłaskiem, w rogu girlandka na monogram lub literkę.

Rysunek woreczka naturalnej wielkości na żądanie wysłać możemy na kalce w cenie: 60 kop. plus wysyłka.

Z. Z.

Naprzeciwko mego okna...

Naprzeciwko mego okna uwiły sobie jaskółki gniazdko na wiosnę. Ptaszkom dobrze się działo. Piórka ich lśniły jak jedwab. Świegotały dzień cały wesoło. Pisklątkom swoim znosiły muszki i ziarnka, karmiły je obficie, rosły więc małe ptaszęta w oczach, zawieszone między niebem a ziemią. Nie boją się wyżyn, wszak skrzydełka coraz większe im rosną. Nim przyjdzie wichura jesienna, która gniazda strąca, pofruną ptaszki za morza, by drugą przeświegotać wiosnę.

Naprzeciwko mego okna mieszkają ludzie. Nazwisko ich wspólne — nędzarze. W ciasnym czworoboku mieści się ich dużo. Kaszle szwaczka, dogorywa były pokątny doradca, kłóci się szewc z szewcową, gra na harmonii zawsze wesoły czeladnik mularski, kocha się młode małżeństwo. On często nie ma roboty, ona pierze bieliznę. Kiedyś obudził mnie płacz dziecka. Jak ono głośno protestowało...

Odtąd często je słyszałam. Nie wynoszono go jeszcze, by się nie zaziębiło. Choć było już bardzo ciepło, ale może czasem wiatr owionąć...

Potem wyjechałam i nie wiedziałam nic, co się z moimi znajomymi z widzenia dzieje.

Przyszła jesień. Wróciłam. Moje ptaki szykowały się już do odlotu. Pisklęta były tak duże, jak ich rodzice. Racyonalnie odżywiane, wyspane i wypoczęte we własnem gnieździe, sprężyście rozwijały doskonale wygimnastykowane skrzydła przy próbnych ćwiczeniach lotnych. Świetnie były przygotowane do swego ptasiego życia. Obowiązki wypełnią, trudom podołają...

Szczęśliwe ptaki...

Na podwórzu bawiła się gromadka dzieci. Wśród nich pełzało maleństwo na rachitycznych, krzywych nóżkach. Było bardzo brudne, główkę miało pokrytą ciemnymi strupkami, włoski nie wyrosły jeszcze wcale. Na ziemi leżała nadgryziona śliwka. Jakaś dobrowolna opiekunka, sześcioletnia dziewuszka, podniosła ją, obtarła rączką ziemię z owocu i podała maleństwu, wyjąwszy przedtem przezornie pestkę. Zapytałam ją, czyje to dziecko? „Praczki z czwartaka“, brzmiała odpowiedź. Ścisnęło mi się serce. Pomyślałam, że gdyby los dał tego małego człowieka w puste gniazdo ludzi bogatych, którzy pragnęliby go tak gorąco, że pół fortuny by za nie oddali, toż samo dziecko rosłoby w pieszczotach i staraniach. Może mózg jego to skrzynka tajemnicza, zawierająca duży skarb myślowy, od którego zgubiono już na zawsze klucz? Może serce jego potrafiłoby ukochać miliony, gdyby kiedyś wiedział, że prócz podziału ludzi na sytych i głodnych, istnieją jeszcze całe inne światy?

Zazdrościłam ptakom... żal mi było ludzi...

Anna Opolska.

Zarodowe i opasowe hodowle świń.

II.

Historya rozwoju hodowli świń rasowych w Anglii mówi, że protoplastka rasy, której dotychczas żadna inna nie dorównała, wyhodowaną została, po długiej pracy przygotowawczej, przez tkacza Tuby'a, który za wystawione po niej prosięta kupił wcale okazałą kamienicę. Podobna historya powtarza się w wielu wybitniejszych hodowlach, gdzie cała sztuka polega na tem, żeby umieć wyprodukować cenną matkę rodu—niestety, sztuka ta nie jest wcale ławtą i wymaga, obok znajomości rzeczy i bystrości, t. j. owego przysłowiowego funta rozumu, jeszcze w dodatku conajmniej łuta szczęścia. Bez tych dwóch warunków, można wydać dużo pieniędzy, sprowadzać kosztowne sztuki rozpłodowe, a jednak nie postawić hodowli na stopie pierwszorzędnej.

Takie refleksye przychodziły mi na myśl podczas gdy zwiedzałam niewielką, ale bardzo starannie dobraną i prowadzoną chlewnię p. Krzywoszewskiego w Mosznie.

Moszna oddaloną jest o parę wiorst zaledwie od stacyi kolei Wiedeńskiej Pruszków.

Staroświecki, typowy dwór otacza piękny park, przerznięty historyczną Utratą, której brzegów strzeże kamienny Neptun, pokryty patyną wieków. Starą rezydencyę odmładza wzorowe, bardzo moderne gospodarstwo.

Chlewnia moszniеńska datuje się dopiero od pięciu lat i wzięła początek z pierwszorzędnych angielskich hodowli. Łut szczęścia przyniosła jej w darze wspaniała maciora Big Bag, matka lub babka najpiękniejszych moszniеńskich macior i w chwili obecnej conajmniej jedna z najlepszych, jeżeli nie najlepsza maciora angielska, jaką mamy w Polsce.

W budynku widnym, suchym i wzorowo czystym, choć wcale nie zbytkownym, stoją dwa szeregi klatek, zajętych przez olbrzymie maciory, wspaniale zbudowane i rozwinięte, głębokie i równe, o małych łebkach i prostych pół-długich ryjach.

Rozpytywany o szczegóły hodowli, objaśnił mnie właściciel chlewni, że maciory dają mu prosięta dwa razy na rok, w marcu i wrześniu; p. K. kładzie słusznie bardzo nacisk na to, żeby nie dopuszczać do prosienia w zimowych miesiącach, kiedy prosięta zawsze są słabsze i łatwiej ulegają biegunkom. Prosię urodzone we wrześniu jest do zimy odchowane i mrozy przestają być dla niego groźne, a ruch ograniczony skutkiem słoty staje się mniej szkodliwy.

Prosięta jedzą mleko i śrutę jęczmienną; paszę macior stanowi śruta zbożowa, ziemniaki w niewielkiej ilości i mleko. W lecie podstawę paszy stanowi koniczyna, wyka i t. p. pasza zielona, okraszona mlekiem i osypką. Intensywne ale nie zatuczające żywienie daje doskonałe wyniki, gdyż prosięta są równe, silne i prędko rosną.

Wielkie znaczenie przypisuje p. K. wczesnemu przyuczaniu prosiąt do jedzenia. Prosię trzytygodniowe, które już umie pić, usuwa się na czas żywienia macior z klatek, aby nie próbowały jeść paszy zupełnie dla nich nieodpowiedniej. Na tę okoliczność naogół zbyt mało zwraca się uwagi. Niedoświadczeni hodowcy cieszą się z objawów apetytu prosiąt, które pakują się do koryta maciory, a nie zwracają na to uwagi, że pasza świń dorosłych może zaszkodzić prosiętom.

Stado moszniеńskie bywa szczepione przeciw czerwonce dwa razy do roku wiosną i jesienią. Prosięta sprzedawane są w wieku 3—6 miesięcy, a że sztuki słabsze usuwane są zaraz po urodzeniu i maciory odchowują nie więcej, jak 8—10 prosiąt na raz, więc prawie wszystkie sztuki są doborowe i mogą być sprzedawane jako zarodowe. Przy takiej hodowli stado, złożone z 10 zaledwie macior, przynosi około 5000 rb. rocznie.

Piękną partyę świń moszniеńskich widziałam przed rokiem na wystawie w Błoniu. Ciekawy widok przedstawiało ładowanie ich do klatek po skończonej wystawie. Zdawaćby się mogło, że to zadanie niełatwe zamknąć w klatkach takie olbrzymy i można było się spodziewać, że nie obędzie się przytem bez hałasu, kwiku i tarmoszenia, tak bardzo szkodliwego dla sztuk zarodowych. Tym czasem świnie, kierowane przez dozorcę, wchodziły sobie po pomostach do klatek jaknajspokojniej, gdyż przyzwyczajone do dobrego obejścia i częstego ważenia, wiedziały snać, że ich żadna krzywda nie spotka.

Jestto jedna z najważniejszych tajemnic powodzenia każdej hodowli, żeby przez łagodne i ludzkie obchodzenie się ze zwierzętami zyskać ich posłuszeństwo i ułatwić sobie w ten sposób każdą czynność.

Marya Karczewska.

COLETTE YVER.

ADWOKATKI.

POWIEŚĆ

przekład z fran. Zofii Sokołowskiej.

38)

IV.

Państwo Jelines po dwóch miesiącach nieobecności wrócili w październiku do Paryża, iskrzącego się wieczorem od lamp elektrycznych. Oddźwierny zauważył, że maleńka bardzo urosła, pani zaś, ubrana w długie okrycie futrzane, konieczne do jazdy samochodem, trochę przybladła. Zato pan bardzo się opalił i znać było po nim, że musiał przebywać na powietrzu od rana do wieczora.

Zaraz nazajutrz rozpoczęli dawne życie, chodzili do Pałacu razem, lub osobno, przyjmowali klientów w swoich gabinetach. Pani Martinal znów spełniała obowiązki dependenta przy Henryce. Narcyz utrzymywał, że nikomu tak wakacye nie posłużyły, jak jej. Ciągle wspominała o swoim pobycie nad morzem, o radości, której doznała, kiedy mogła zawieźć tam swoich malców, zapewnić im dobrobyt i przyjemności, dostępne dla dzieci bogatych. Nieraz rozprawiając z panią Jelines o artykułach kodeksu, przerywała sobie, żeby opowiedzieć o jakim miłym epizodzie z tej epoki, o jakim dowcipie Piotrusia, o jakim pogodnym dniu wrześniowym.

— Jakaś ty szczęśliwa! — wzdychała Henryka.

— Możnaby przypuścić, że mi zazdrościsz — rzekła raz do niej wdowa — nie udawaj, moja droga.

— Masz na myśli moje powodzenie, ale to nie wystarcza do szczęścia...

— Tak, ale los okazuje się tak hojnym dla ciebie, że twoją duszę szczęście musi niekiedy przepełniać.

— Wistocie, moja dusza jest niekiedy przepełniona — odrzekła Henryka i zadumała się.

— Co jej się stało? — pomyślała pani Martinal, przeczuwając, że pod pozorami szczęścia kryje się jakiś dramat.

Dziwny był stosunek tych dwóch kobiet: wspólnie roztrząsały najtajniejsze szczegóły pożycia małżeńskiego swoich klientek, zdrady i wiarołomstwa, a jednak między niemi stała tajemnica.

— Czyżby ją upoiło powodzenie? — mówiła do siebie pani Martinal— sławnym kobietom bywa niekiedy za ciasno w kole rodzinnem... Czyżby marzyła o jakich romantycznych przygodach? Może rozsądny Andrzej nie zaspokaja jej wyobraźni? Może zakochała się w kim innym?

Pani Martinal miała wiele życzliwości dla Andrzeja, wysoko ceniła jego prawość, potęgę umysłu, prostotę i czystość obyczajów. Jélines także ją szanował za jej dobroć, poświęcenie dla dzieci i poczucie obowiązków. Od czasu, jak ostygły stosunki, łączące go z żoną, chętnie szukał towarzystwa pani Martinal; mężczyzna potrzebuje kobiety, którаby go zrozumiała. Ile razy Henryka była nieobecna, Andrzej otwierał drzwi do gabinetu, gdzie pracowała dependentka.

— Pani jest sama?

Gawędzili o różnych rzeczach: o reformie kodeksu, o modnych kapeluszach, głównie zaś o Pałacu Sprawiedliwości. Andrzej do tego stopnia zaprzyjaźnił się z nią, że niekiedy prosił ją o pomoc w robocie. Kilka razy w zastępstwie jego jeździła samochodem do nędznego mieszkania pani Gerigne. Zaciekawiała ich jednako dziwaczna historya listów bezimiennych, o które zawzięta pieniaczka oskarżała swego stróża. Jélines rozchmurzał się, patrząc na panią Martinal, śmiejącą się do rozpuku z tej obelżywej korespondencyi, albo z zawikłanego sprawozdania, które złożył w tej sprawie biegły, biorący ją za panią Jélines.

Przeciwko Andrzejowi stawał Maurycy Servais, wybrany przez stróża na obrońcę i to podniecało jeszcze ich wesołość. Przyszedł raz do starszego kolegi dla porozumienia się w tej sprawie. Błyszczące jego oczy, matowa cera, najeżone jak szczotka włosy, które często poprawiał gorączkowym ruchem ręki, wszystko świadczyło o ognistym temperamencie, który nieraz wybuchał przed kratkami. Andrzej wróżył mu świetną przyszłość i miał dla niego wiele uznania. Pani Martinal, wezwana do narady, z ciekawością przyglądała się młodemu adwokatowi, o którym tyle mówiono od roku z powodu jego miłostek z piękną Izabellą. Całe lato był nieobecny w Paryżu: Fabrezan umyślnie zabrał go z sobą do Lyonu, gdzie prowadził jakąś rozgłośną sprawę. Nikt nie wiedział, co się dalej stało, ale Ludwika Pernette przestała wspominać o porzuceniu swego zawodu, a wspaniała Izabella nie pokazywała się w Pałacu. Nić idylli, stargana burzą, może zadzierzgnęła się znowu, nikt jednak nie mógł twierdzić tego napewno, gdyż w galeryi św. Ludwika nie widywano zakochanej pary, a słodkie usta młodej adwokatki, broniącej co poniedziałek nieletnich wychowańców panny Angély, nie uśmiechały się, jak dawniej.

Maurycy z zapałem, właściwym jego wiekowi, dowodził niewinności stróża, powołując się na świadectwo innego biegłego. Przeczytano głośno obydwa sprawozdania, które wyprowadzały odmienne wnioski z przedstawionych dowodów: jeden z biegłych utrzymywał, że stróż pisał listy, drugi zapewniał, że nie. Adwokaci stron przeciwnych śmieli się; pani Martinal wtórowała im z całego serca.

Jednocześnie kilka klientek oczekiwało w salonie na Henrykę; życie jej było bardzo surowe i zachmurzone troskami. Powierzono jej ważną sprawę rozwodową, która zwiększyła jej sławę. Dzienniki zagraniczne domagały się jej fotografii, a jakaś angielska dziennikarka przyjechała umyślnie z Londynu, żeby mieć u niej wywiad. Osoba jej budziła coraz większe zaciekawienie, ludzie poważni zasięgali jej zdania, a jednak mimo tylu hołdów, pochlebnych dla miłości własnej, miała często oczy zapłakane, a różowa twarzyczka coraz więcej mizerniała. Zastanowiło to panią Martinal, że Henryka obsypywała córeczkę namiętnemi pieszczotami.

— Co to znaczy? — myślała wdowa — przecież ma takiego miłego męża.

Andrzej, poznawszy bliżej tę kobietę, stworzoną do macierzyństwa i nie widzącą w świecie nic, prócz swoich trzech malców, serdecznie z nią się zaprzyjaźnił. Nie budziła w nim żadnych pokus, miał tylko dla niej jakby uczucie synowskie, żalił się przed nią na bóle głowy i drobne kłopoty, zwierzał się z każdej przykrości. Wiedziała zawsze, ile razy był znękany, niezadowolony z siebie, lub zmartwiony przegranym procesem. Wkrótce przeniknęła go nawskroś i dostrzegła w tym szczęśliwym człowieku wielkie rozgoryczenie.

— Widzę, że jesteś pan nieswój —mawiała nieraz do niego.

— Ach życie jest wstrętne — odpowiadał zniechęcony.

— Życie jest wstrętne? — zżymała się

Ona swoim przykładem mogła natchnąć uwielbieniem dla życia.

— O tak — ciągnął dalej Jélines — marzy się o niem, jako o czemś wielkiem i pięknem, a tymczasem to jedynie wązka, brzydka i ciernista ścieżka, wiodąca na cmentarz.

— Ach! biedaku! — ubolewała nad nim wdowa — czy tobie przystoi szemrać? Jest was dwoje, kochacie się...

Andrzej w milczeniu odwrócił głowę, usta mu drgnęły. Pani Martinal zrozumiała że coś się rozprzęgło w tem szczęśliwem małżeństwie i zmartwiła się tem szczerze... Miała wrażenie, jakby coś bardzo cennego zostało zniszczone w jej oczach.

— Ale dlaczego? dlaczego? — pytała się w duchu.

Oboje z wielką godnością ukrywali swoje cierpienie: Andrzej okazywał żonie wszel-

kie pozory czułości, tymczasem coraz więcej obojętniał dla niej i uważał ją niby przygodnego towarzysza w podróży: szli obok siebie w jedną stronę, ale nic ich nie łączyło. Byli dla siebie bardzo uprzejmi, zamieniali chłodne pocałunki i rozprawiali spokojnie o wspólnych sprawach. Andrzej miotał się śród drobnych procesów, ale nie przyznawał się do tego przed żoną, do której udawały się najznakomitsze klientki. Nie miał za domem żadnego stosunku miłosnego, tylko przestał kochać i młodość jego jakby zamarła. Nie chciał, żeby żona wiedziała, jaki żal ma do niej. Raz, kiedy trzymała córeczkę na kolanach i rzekła do niej:

— A ty będziesz adwokatką?

— Ach, nie, nie! — wykrzyknął ojciec.

Ten okrzyk był dla niej jakby objawieniem: Andrzej miał do niej urazę, że zawód adwokacki zanadto ją pochłaniał. Mężczyźni chcą mieć żonę wyłącznie dla siebie, powinna zawsze siedzieć w domu, jak to ongi bywało. Może cierpiał nad tem, że codziennie wydana była na pastwę ciekawości ogółu, jak aktorka. Znała wielu mężów, którzy nie znieśliby, żeby żona miała jakie zajęcie poza domem.

— Czy wymawiasz mi mój zawód? — zapytała drżącym głosem.

— Nic ci nie wymawiam, moja droga— odrzekł łagodnie.

Zrozpaczona, uczula, że i w niej miłość stygnie.

(D. c. n.).

Przepisy jarskie dla amatorek pomidorów.

1) *Pomidory faszerowane.* Do faszerowania najlepsze pomidory okrągłe, gładkie. Wybrać zdrowe, średniej wielkości pomidory, opłukać, ściąć z wierzchu denko, potem je lekko wycisnąć z wody i pestek, w środku nieco wydrążyć i nadziać następującym farszem: Na 9—8 pomidorów małą cebulę usiekaną zasmażyć na maśle, dodać 3—4 łyżek bułki tartej, trochę koperku i pietruszki zielonej, drobno posiekanej, soli, pieprzu i smak wyciśnięty z pomidorów, który przez sitko zlać należy, odrzucając pestki. Gdyby masa okazała się za sucha, dodać trochę masła lub rosołu. Farszem tym nadziać pomidory, z wierzchu posypać serem szwajcarskim lub parmezanem, obłożyć kawałkiem masła i ustawiwszy pomidory na brytfance masłem wysmarowanej, zapiec w piecu średnio gorącym 10—15 minut. Podając, polać masłem rumianem. Farsz ten można urozmaicać, dodając do tej samej masy jeszcze grzybki świeże lub pieczarki drobno usiekane i z cebulką zasmażone. Zamiast bułki tartej można dodać ryż uduszony w maśle.

2) *Pomidory pieczone w cieście franc.* Na 10 średnich pomidorów przygotować ciasto fr. z $^1/_4$ funta mąki i $^1/_3$ f. masła Pomidory opłukać, ściąć wierzchy, lekko wycisnąć wodę i pestki, nieco wydrążyć łyżeczką i w miejsce wydrążone wsypać trochę soli i pieprzu. Ciasto rozwałkować dosyć cienko, pokrajać na kwadratowe kawałki, na każdy kwadrat postawić pomidor szczelnie oblepić ciastem, kładąc brzegi ciasta na krzyż. Wszystkie pomidory, starannie ciastem zawinięte, ustawić na blaszcze, posmarować całe jajkiem rozbitem i upiec w gorącym piecu. Trzymać w piecu gorącym najpierw przez 10 minut, a gdy się ciasto zrumieni w niższym przez 5 minut.

3) *Pomidory smażone w cieście.* Przygotować pomidory, jak wyżej w nr. 2 powiedziano—duże pomidory można przekrajać, małe pozostawić w całości. Na 10 średnich pomidorów przygotować ciasto następujące: Pół funta mąki, łyżka oliwy lub masła sklarowanego, łyżka cukru, łyżeczka soli, kwaterka wody letniej. Ciasto dobrze wymięszać, żeby było gładkie, a przed samem smażeniem, dodać gęstą pianę z 2 lub 3 białek. W temże cieście maczać pomidory, które zaraz wrzucać na bardzo gorący tłuszcz wołowy lub wieprzowy— smażyć jak pączki, aż się zrumienią, wyjmować na sito, aby osiąkły z tłuszczu i podlać, podając, masłem rumianem.

Pomidory zapiekane z kartoflami. Kilka pomidorów zanurzyć w gorącej wodzie i obciągnąć ze skórki, potem je lekko wycisnąć z pestek i w ćwiartki pokrajać. Kilka kartofli ugotowanych pokrajać w plasterki. Brytfankę, lub jeszcze lepiej półmisek, wysmarować masłem na spód ułożyć warstwę kartofli, na to warstwę pomidorów, które posypać solą, pieprzem, zieloną pietruszką, koperkiem i serem szwajc. lub parmezanem. Pokryć znów kartoflami, które zalać zaprawką z mąki zasmażonej na maśle z dodaniem śmietany. Z wierzchu całość posypać serem utartym i bułeczką, polać masłem i odpiec w średnio gorącym piecu przez 10—15 minut. Półmisek można otoczyć kilku całymi pomidorami, które się oddzielnie piecze, przygotowując je w ten sam sposób, jak w Nr. 2. opisałam. Zamiast kartofli, można dla odmiany przyrządzić potrawy z pomidorów i makaronu lub z pomidorów i ryżu. Tak makaron włoski lub domowy, jak ryż, musi być pierwej ugotowany i w maśle podduszony.

M. Norkowska.

Rady gospodarskie.

WYBORNA KAPUSTA MŁODA Z KMINKIEM.

Główkę kapusty poszatkować, sparzyć i dobrze wycisnąć. Przesmażyć w rondelku $^1/_4$ f. słoniny z całą cebulą drobno pokrajaną, włożyć kapustę, wlać kilka łyżek rosołu lub wody, dodać 2 łyżeczki kminku i łyżeczkę soli, nakryć i dusić na wolnym ogniu. Kapustę zaprawić małą łyżką mąki, przesmażonej na słoninie. Również smaczna ta kapusta na maśle. Podać do wieprzowiny, kiełbasy i t. p.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Oleńki list otrzymaliśmy. Dziękujemy. Zastosujemy się do szlachetnego życzenia. O przeznaczeniu pieniędzy zawiadomimy.

P. F. Kr. w Wiślicy. Niech się łaskawa pani zgłosi—z powołaniem się na nasze pismo: Cecylia hr. Plater-Zyberkówna. Zakład naukowy. Piękna 24. Warszawa. Dadzą wszelkie informacye.

P. Ewie. „*Środkom*“ żadnym w tym razie niech pani nie ufa. Pomódz może odpowiednia stała kuracya, zmiana klimatu. Doktór tylko opiniować może. Wskazówkami książek służyć będziemy w przyszłym numerze — ale z ową *łopatką* natychmiast radzimy przywieźć dziecko do dobrego *doktora*. Nie można takich rzeczy zaniedbywać ani minuty. Zło czasem można stłumić w zarodku. Za serdeczne dla nas wyrazy dziękujemy. Istotnie, wiele szczęścia daje nam nasz zażyły stosunek z Czytelniczkami. Wiele jest już domów, z którymi niemal razem żyjemy. Jest to najwyższa nagroda, jaką za pracę mieć można. O książkę poradzimy się p. Anieli Szycówny.

Prenumeratorka z Kaszew. zechce łaskawie poczekać. Referentka odnośnego działu—na wakacyach.

Pani Zulce. P. Paszkowski. Marszałkowska 109 zapewnia nas, że ma puder maskujący ślady ospy.

P. Z. Zboromirska ze Złotni, pomyliła się. W kopertę do nas adresowaną włożyła list do jubilera traktujący o herbowym sygnecie... List jest do zwrotu, prosimy o ten, który był dla nas przeznaczony.

OFIARY.

Dla zecera sparaliżowanego.

P. Terpecka rb. 3.

O POMOC!

Szanowne Czytelniczki tylokrotnie zapytują nas, na co mają przeznaczyć grosz swój ofiarny.

A oto przychodzi niedola. Jeden z pośród nas, człowiek przez długie lat dziesiątki układający literki pisma, które Szanowne Panie tak chętnie czytacie — zaniemógł. Paraliż odjął mu możność pracy. Dzieci nie gotowe jeszcze do walki z życiem. Nędza za progiem. Prosimy dla niego o skromne grosze, które mogą poratować w ciężkiej niedoli człowieka nawykłego do twardej pracy—nie żebraniny. A tem nieszczęśliwszego, że dziś do ofiarności ludzkiej zwracać się musi, która niechże go nie zawiedzie.

Ofiary przyjmuje Administracya *dla sparaliżowanego zecera.*

Koniec działu redakcyjnego.

Treść numeru 38-go: Starość pracownic igły.—Panna Ludwika.—Wyższe kształcenie kobiet.—Spóźnione szczęście, powieść Ostoi-Sawickiej (c. d.).—W Jabłonnie (wiersz).—Mały szkic wielkiej duszy.—Z tygodnia na tydzień.

Dział mód i robót ręcznych.

Roboty ręczne.—Naprzeciwko mego okna.—Zarodowe i opasowe hodowle świń.—Adwokatki, powieść Colette Yver (c. d.).—Przepisy jarskie dla amatorek pomidorów.—Rady gospodarskie.— Odpowiedzi od Redakcyi.—Ofiary.—O pomoc.— Z dziedziny kosmetyki.—Ogłoszenia.

Na okładce: Wskazówki praktyczne.

Z dziedziny kosmetyki.

Serafinie. Piegi, opaleniznę i żółte plamy usuwa bezpowrotnie *Precioza.*

Wdówce. Najbardziej zaniedbane ręce, szorstkie, czerwone, opierzchnięte wybieli i udelikatni *Pate des Prelats Ponsarda.* Kremem tym, który niezawiera w sobie wcale części tłustych, naciera się ręce, umaczane przedtem w letniej wodzie, lub jeszcze lepiej obmyte w ciepłej wodzie *Otrąbkami abaridowemi.* Po opłókaniu, nie wycierając ręcznikiem, w mokre jeszcze ręce wetrzeć *Pate des Prelats* i nałożyć rękawiczki przewiewne, niciane, albo specyalne, zwane kosmetyczne. W ten sposób postępować codziennie, dopóki nie doprowadzimy rąk do pożądanego stanu. Gdy już ręce będą zupełnie delikatne i białe, dwa razy w tygodniu użyty *Pate des Prelats* wystarczy, aby ręce były niezmiennie białe i gładkie, jak atłas.

Margericie W. Na porost włosów wypróbowanym w tysiącznych wypadkach jest *Tetral Tistota,* lecz trzeba się na to przygotować, że tyl ko tam włosy odrosną, gdzie jeszcze cebulka włosowa nie zamarła, lecz jest osłabiona; tam zaś, gdzie cebulki niema, nigdy włosy już nie odrosną. Głównem więc zadaniem *Tetralu Tissota* jest ratowanie i wzmocnienie tych włosów, które jeszcze istnieją. *Tetralem* trzeba skrapiać głowę codziennie przed samem rannem czesaniem, a skrapiać lekko, o tyle tylko, aby czuć było, że cała skóra na głowie jest zwilgocona, po czem bezzwłocznie uczesać się, lecz własnym grzebieniem, zamykanym na klucz, aby nikt obcy nietylko nie czesał się nim, lecz nawet ręką nie dotykał. Grzebień taki powinien być w dobrym gatunku, niedrapiący, który przynajmniej co dwa tygodnie myć trzeba w ciepłej wodzie szarem mydłem, a popłókać wodą, w której rozpuszczono odrobinę kwasu bornego. Jeżeli po zużyciu całego flakonu *Tetralu* znać będzie widoczną poprawę, można drugim flakonem skrapiać co drugi dzień, aż do zupełnego wyleczenia, gdy zaś zupełna poprawa nastąpi, trzeba jeden raz w tygodniu skrapiać, aby nie dopuścić do ponownego zaniedbania. Głowy, o ile możności, nie myć różnorodnemi mydłami stałemi lub płynnemi, gdyż najczęściej choroby włosów powstają z zaziębienia głowy, lub spania z wilgotnemi włosami, dla uniknięcia więc tych następstw, najlepiej czyścić głowę na sucho specyalnym pudrem *Florentine* przez natrzepywanie tego pudru dłonią aż do skóry. Po kilkunastu minutach włosy wytrzepać i wyczesać szczotką dość twardą i gęstym grzebieniem.

Al Gr. w Lublinie. Najlepszym środkiem wzmacniającym dziąsła, chroniącym od próchnienia i bólu zębów jest *Anidol.* Mało reklamowany ten eliksir zasługuje na wyróżnienie przez swoje własności antyseptyczne. Parę kropli tego płynu, dodanego do pół szklanki wody, dezynfekuje całą jamę ustną nietylko w chwili użycia, lecz kilka godzin po użyciu. Jeżeli po każdem jedzeniu chociaż dwie krople użyjemy *Anidolu,* możemy być pewni, że nietylko zęby, ale i gardło nie nawiedzą żadne dolegliwości.

Do wszystkich. Wszystkie środki tutaj omawiane mają na składzie firmy: *Perfection* Szpitalna 10 i *Paszkowski* Marszałkowska 109, w Łodzi, *Spiess,* w Wilnie *Grużewski,* w Kijowie *Niwiński,* w Lublinie *Bernatowicz,* w Radomiu *Cieszkowski,* w Kielcach *Kalicki,* w Częstochowie *Popławski,* w Sosnowcu *Łączkowski,* we Lwowie *Pawłowski* Akademicka 21. Na kopertach z pytaniami należy dopisać: *„Dział kosmetyczny".*

Telimena.

Odpowiedzialna za redakcyę w Galicyi: Kamilla Chołoniewska, Kraków, ulica Zyblikiewicza, 8.

Redaktor Wacław Podwiński. Kierowniczka działu literac. i praktycz: Lucyna Kotarbińska. Wydawnictwo i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-w.

Klisze i druk wykonane w zakładach graficznych Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.